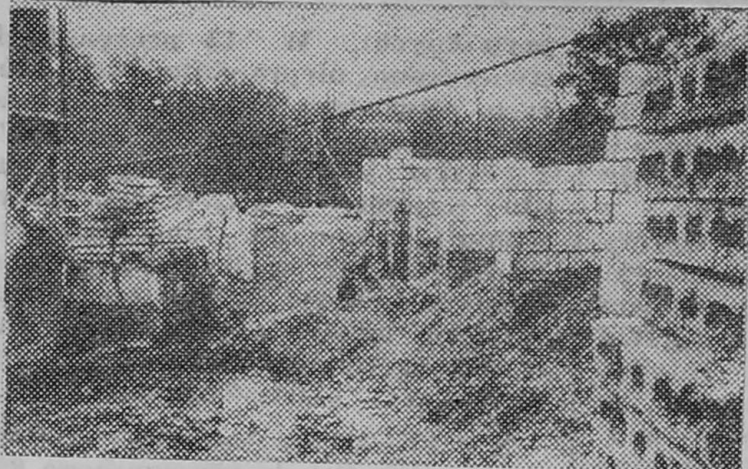
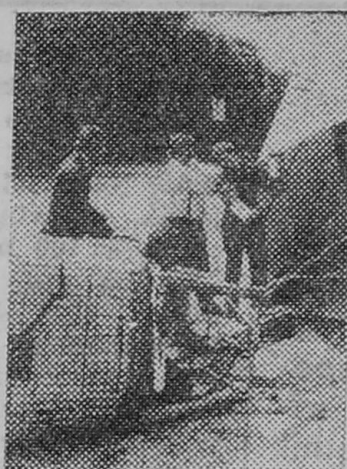




nie czekamy
na gołowe 3



nosiciele
nadziei 4



przerwany
lot 8



lato! 14

KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

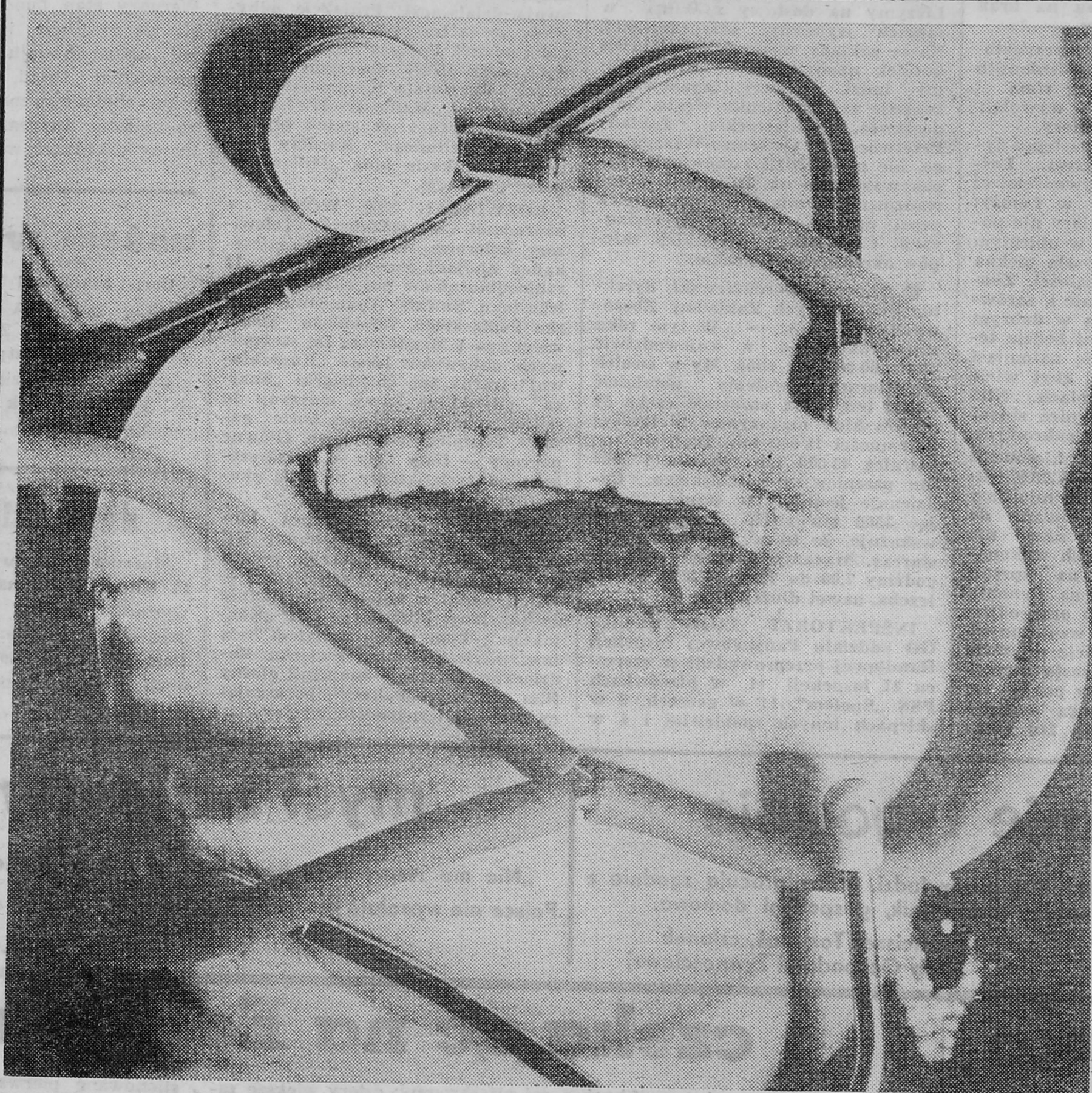
PL ISSN 0208-6840

30

(354)

KONTAKTY
1987-07-26

cena
20 zł



Fot. GABORA LÖRINCZEGO

DRZWI ZNÓW OTWARTE

O wrażeniach z 13-miesięcznego pobytu w areszcie i sposobach zachowania godności ludzkiej – z dr Barbarą Witkowską-Makowską, anesteziologiem z Pogotowia Ratunkowego w Warszawie – rozmawia Alicja Niedźwiecka.

STR. 7

choroby służby zdrowia

**DANUTA
WRONISZEWSKA**

Radni MRN w Łomży na ostatniej, czerwcowej sesji postawili sobie ambitny cel oceny funkcjonowania łomżyńskiej służby zdrowia. Jak łatwo się domyślić, zrealizowali go tylko częściowo. Zapoznali się natomiast z kilkoma opiniami, a mianowicie: lekarza wojewódzkiego, Konstantego Znoski, zastępcy dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego, Marka Mindy, wiceprezydenta Marka Humeńczuka, przedstawiciela Sanepidu Józefa Gabiniewicza, Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej MRN oraz uwagami poszczególnych radnych i materiałami statystycznymi.

Służba zdrowia jaka jest, nikomu nie życzę, by się przekonał na własnej skórze. Bawiem jeśli nawet chory trafi na dobrego lekarza, to prawdopodobnie będą kłopoty z kupieniem zaordynowanych leków. Jeśli natomiast w końcu „wychodzi” z pomocą paru przyjaciół np. zastrzyki, to się może okazać, że brakuje akurat strzykawek lub igieł. A gdyby się zdarzyło, że są jedne i drugie, to wcale jeszcze nie ma pewności, że do siebie pasują. Zaopatrzenie w leki i sprzęt medyczny od lat jest niedostateczne, a objęcie tej produkcji tzw. programem rządowym połączonych efektów jeszcze nie przyniosło.

Coraz więcej jest natomiast wakatów wśród średniego i niższego personelu medycznego. Niemal masowo „odpływają” ku lepiej płatnym zajęciom pielęgniarki z wysokimi kwalifikacjami. Ilu młodych, zdrowych mężczyzn, na dodatek obarczonych rodziną, podejmie się pracy tzw. gipsiarza, wynagradzanej osiemnastoma tysiącami złotych miesięcznie? A przecież niedawno odbyła się generalna podwyżka płac. Horrendalna kwota 18 miliardów złotych po podzieleniu na kilkusettygodniową rzeszę pracowników okazała się w indywidualnych portfelach skromną sumką, zaś średnia płaca w służbie zdrowia stanowi jedynie 84 proc. ogólnopolskiej średniej.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

W NASTĘPNYM
NUMERZE:

„Rysa”, czyli o łomżyńskich w Powstaniu Warszawskim * o sołtysie z Zabawki zupełnie serio * „Kanikuła” * z gospodarską wizytą * „Wizny” widoki na przyszłość * pamiętnik Barbary Makowskiej-Witkowskiej.

EGZEKUTYWA KW PZPR w Łomży oceniła realizację wytycznych Sekretariatu KC PZPR z grudnia 1985 r. w sprawie pracy POP w urzędach administracji państwowej. Zwracano uwagę na rolę organizacji partyjnej w procesie adaptacji społeczno-zawodowej nowych pracowników, liczebność POP i jej wpływ na skuteczność i jakość pracy urzędów. Miniony rok szkolenia ideologicznego przyniósł większe zainteresowanie uczestnictwem w zebraniach szkoleniowych i nowe ich formy (zespoły kształcenia ideologicznego, seminaria ideologiczne, szkoły aktywno robotniczego). Wiele organizacji (szczególnie wiejskich) wciąż narzeka na brak przygotowanych lektorów.

ZAKOŃCZYŁY SIĘ już przygotowania do znacznie opóźnionych zniw. Wyjątkowo mroźna zima i późna deszczowa wiosna wywołały niepokój o tegoroczne zbiory.

Jerzy Karaszewski, zastępca dyrektora Wydziału Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej Urzędu Wojewódzkiego w Łomży: — Wbrew pogłoskom zbiory nie powinny być mniejsze niż w ubiegłym roku. Po deszczach przyszła piękna pogoda i nadrobiła zaległości. Zboża wypełniły się doskonale i, zarówno ozime, jak i jare, są w dobrym stanie. Może nieco mniej będzie tego roku żyta. Boimy się natomiast miotły zbożowej, której zbyt wiele zaobserwowaliśmy na polach. Niezłe zapowiadają się również zbiory ziemniaków i buraków cukrowych.

Janusz Swiderski, kierownik Działu Usług i Produkcji WZRKiOR: — Odkąd tu pracuję, nie mieliśmy tak spokojnych przygotowań do zniw. Właściwie niczego nam nie brakuje: w stu procentach wykonano nasze zamówienie na sprzęt; mamy części zamienne na remonty i przygotowanie maszyn oraz odpowiedni zapas na czas wzmożonych prac polowych. Oczywiście w czasie zniwnej eksploatacji często okazuje się, że pewne zespoły psują się częściej niż inne i mogą powstać trudności. Dysponujemy 246 kom-

bajnami, 177 sнопowiazalkami i 143 prasami. Razem ze sprzętem rolników daje to 660 „Bizonów” i 8790 sнопowiazalek na 201 000 hektarów zbóż. Na SKR-y przypadnie prawie jedna czwarta, czyli 43 000 ha, z czego 31 400 na kombajny. Oprócz tego na czas zbiorów przygotowaliśmy 124 samochody pogotowia technicznego, z których korzystają mogą także indywidualni rolnicy. po telefonicznym zamówieniu w najbliższym eskaerze. Jedyny kłopot polega na tym, że tegoroczne zniwa są bardzo opóźnione, a więc zbiegną się z drugim pokosem siana, końcem oprysków i początkiem wapnowania gleb. W związku z tym może zabraknąć nam ludzi i sprzętu, będziemy wybierać najpilniejsze zamówienia.

Józef Zaczek, wiceprezes Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni: — Zaopatrzenie wiejskich sklepów w czasie tegorocznych zniw będzie lepsze niż przed rokiem. Nie zabraknie kaszy, maki i cukru. Wciąż nie jesteśmy w stanie zaspokoić całego zapotrzebowania na sery twarde, makaron, margarynę i konserwy rybne. Otrzymamy 150 ton ryb i przetworów rybnych, czyli 45 proc. dostaw dla województwa, podczas gdy obsługujemy 67 proc. mieszkańców. Liczymy na dostawy z Wilna w ramach wymiany przygranicznej. Nasze zakłady wyprodukują 115 600 butelek napojów gazowanych. Mamy ludzi, surowce, opakowania, brakuje zaś dwutlenku węgla. Nasz dostawca, Białostockie Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego, nie potwierdził zamówienia. Zapas wystarczy na kilka dni. Sprowadzimy natomiast 19 000 butelek pepsa, na razie głównie do restauracji. Czas pracy wiejskich sklepów określa rady sołeckie.

Tadeusz Mordaszewski, dyrektor Państwowych Zakładów Zbożowych w Łomży: — W tym roku zakontraktowano w województwie około 60 000 ton zbóż. My w swoich elewatorach możemy pomieścić 52 000 ton, a na pozostałe czeka 51 geosowskich magazynów o łącznej pojemności 13 000 ton. Trafi do nas również 45 000 ton rzepaku i 5000 ton pszenicy z Suwalskiego. Codziennie jesteśmy w stanie przyjąć 3500 ton zbóż; doświadczenie wskazuje, że to w zupełności wystarczy. Magazyny czynne będą od godziny 7.00 do 19.00, a jeśli będzie trzeba, nawet dłużej.

INSPEKTORZY ŁOMŻYŃSKIEGO oddziału Państwowej Inspekcji Handlowej przeprowadzili w czerwcu 27 inspekcji (4 w placówkach PSS „Społem”, 11 w geosach, 8 w sklepach innych spółdzielni i 4 w

prywatnych). W 13 przypadkach stwierdzono nieprawidłowości, których rezultatem było 13 wniosków do kolegium: 5 dotyczyło „Społem”, 2 geosów, jeden prywatnego handlu. Najczęściej stwierdzano ukrywanie towarów (np. sklep wzorcowy PSS „Społem” nr 3 w Zambrowie) i naliczanie zbyt dużych opłat oraz sprzedaż lodów ze zbyt małą zawartością tłuszczu i cukru (w cukierni przy placu Żeglickiego 11).

NA FUNDUSZ Narodowego Czynu Pomocy Szkole przeznaczono 852 tysiące złotych ze zbiórki surowców wtórnych, zorganizowanej przez Wydział Drobnej Wytwarzalności i Usług Urzędu Wojewódzkiego w Łomży. Na inne cele społeczne przekazano 378 tysięcy złotych. Najbardziej aktywne okazały się gminy Grabowo, Perlejewo, Zambrow i Jedwabne, natomiast w Miastkowie i Małym Płocku nie zdołano zebrać ani kilograma makulatury.

NA TARGU W JEDWABNEM kwintal pszenicy kosztował 3200 złotych, żyta — 2500, jęczmienia — 3300. Za krowę do 10 lat płacono 60 000 złotych, za parę prosiąt — 8000—11 000, źrebię — 55 000, konia roboczego — 125 000 zł.

DYSKUSYJNY KLUB FILMOWY „To tu” (przy MDK-DST) — mimo kłopotów lokalowych — wznowił swoją działalność. Projekcje odbywają się co trzy tygodnie w kinie „Millenium”. Podczas najbliższej (30 lipca, godz. 16.00) zobaczymy „Przypadek” Krzysztofa Kieślowskiego, a następnie — „Matkę Królów” Janusza Zaorskiego i „A statek plynie” Federico Felliniego. Karnety do nabywania w kasie kina „Millenium” przed projekcją.

ROZWIĄZAŁ SIĘ WOREK z nagrodami „Kontaktowej”. Telewizory kolorowe wylosowali mieszkańcy Zbójnej, Suwałk i Elku; 14 radioodbiorników pojechało do Białegostoku, Suwałk, Augustowa, Biełska Podlaskiego, Wysokiego, Mazowieckiego i Miastkowa. Do szczęśliwych nabywców losów „Kontaktowej” trafiły też chłodziarki „Snajga”, młynki do kawy, maszyny do szycia, roboty kuchenne, butle gazowe, komplety pościelowe. Główne nagrody — fiaty 126p — wciąż czekają na tych, którzy potrafili skorzystać z wielkiej szansy.

JAN BISZTYGA, zastępca kierownika Wydziału Propagandy KC PZPR, i Henryk Zagańczyk, redaktor naczelny pisma „Prezentacje” — wzięli udział w kolejnym spotkaniu dyskusyjnego klubu przy POP „Kontaktów”. Tym razem tematem była tzw. pieriestrojka w Związku Radzieckim. Dyskusję uzupełnił głośny film radziecki „Pokuta”, poruszający problem wynaturzeń władzy.

PYTANIE
DRAŻLIWE

„Kurier województw” poinformował, że w Łomży trwa budowa dworca PKS. Tymczasem przy skrzyżowaniu ulic Świerczewskiego i Sikorskiego nie widać żadnego ruchu. Budujemy więc dworzec, czy nie?

MIROSŁAW SKALSKI, dyrektor Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji: — „Kurier” zbyt szybko pospieszył: wkraczamy dopiero w etap przygotowań. Moglibyśmy nawet już wejść na plac budowy, gdyby dotychczasowi właściciele, PKP i PKS, rozebrali budynki stojące na drodze kanałów instalacji uzbrojenia technicznego. Niedawno przyjęliśmy drugą koncepcję gmachu dworca; pierwsza dokumentacja nie spełniała naszych oczekiwań, ponieważ polegała na adaptacji już istniejących budynków. Nie po to czekaliśmy 40 lat, żeby zadowolić się prowizorką. Pierwszy etap budowy rozpocznie się we wrześniu i będzie polegał na zainstalowaniu technicznego uzbrojenia. Drugi, od przyszłego roku, obejmie wznoszenie głównego gmachu dworca. Całość zamierzamy zakończyć w 1990 roku.

gościli w Łomży

Boris Nikołow i Werginja Widnowa — przedstawiciele Okręgowej Rady Związków Zawodowych w Widnie; Jan Bisztyga — zastępca kierownika Wydziału Propagandy KC PZPR; Henryk Zagańczyk — redaktor naczelny „Prezentacji”.

zaprosili nas

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu — na wystawę „Rośliny lecznicze i leki pochodzenia roślinnego”; Osiedlowy Dom Kultury w Łomży — na wernisaz wystawy „Collage by Robert Wiczorek”.

zdanie tygodnia

— W Polsce są tylko trzy grupy ludzi, którzy pracują zgodnie z prawami ekonomii: rolnik, rzemieślnik, gospodyni domowa.

Franciszek Tomczak, członek Rady Gospodarki Żywnościowej

myśl z atestem

„Nie ma rzeczy dość bezspornej ani dość blądej, która by w Polsce nie wywołała dyskusji.”

Prof. Ludwik Hirszfeld

na gorąco

Wszyscy są zgodni: postęp naukowo-techniczny i technologiczny jest dziś dla nas sprawą najważniejszą — wręcz kwestią przetrwania — na mniej więcej europejskim poziomie. Od lat każdy dokument, choć trochę dotyczący spraw gospodarki, zawiera stosowny zapis, najczęściej zresztą umieszczony na pierwszym miejscu. Efekty, najogólniej mówiąc, rozmiągają się z oczekiwaniami; jak dotąd nie potwierdziły się nadzieje na zauważalne zmniejszenie zużycia energii i surowców oraz poprawę fatalnej jakości naszych towarów. W zamian zakładom przemysłowym próbuje się zaszczyć postęp z zewnątrz, w postaci ogólnopolskiego ruchu wynalazczego i racjonalizatorskiego, nowych przepisów i — co jakiś czas — hulaśliwych kampanii propagandowych. Organizm gospodarczy przeszczer regularnie odrzuca: przedsiębiorstwa opędzają się od racjonalizatorów jak od natrętnych owadów.

Właściwie nie stoi na przeszkodzie, aby Polska stała się krajem Edisonów. Naszym największym atutem jest dość wysoki po-

ziom wykształcenia i kwalifikacji zawodowych obywateli. Inżynierów mamy więcej niż niejeden bogaty kraj Zachodniej Europy, a nasi technicy nie odbiegają wcale poziomem od swoich zagranicznych kolegów. Dowodzą tego rewelacyjne wynalazki, ogłaszane co jakiś czas w telewizji i prasie, najczęściej z opisem mało zachęcających perypetii ich autorów. I na telewizji ich kariera się kończy, do produkcji trafiają rzadko.

Nie chodzi zresztą o wielkich odkrywców — im zawsze łatwiej o moźnych protektorów — lecz o tyśięczne rzesze drobnych racjonalizatorów, z których wielu z każdym dniem traci zapał i chęć do pracy ponad ustawowe osiem godzin. Na placu pozostali już chyba tylko prawdziwi entuzjaści, którzy i tak nie potrafiliby siedzieć beczynnie i których nie zraża ani perspektywa żmudnego zbierania pieczętek na urzędowych formularzach, ani krzywe spojrzenia kolegów.

W Łomżyńskim rzecz ma się podobnie, jeżeli nie gorzej. Przede wszystkim nasz przemysł jest wię-

cej niż skromny: cztery większe zakłady, kilkanaście mniejszych i wiele drobnych, najczęściej spółdzielczych. Wiadomo, że racjonalizacja najlepiej ma się w dużych firmach branży mechanicznej; łatwiej tam o drobne usprawnienia, a wielka skala produkcji gwarantuje widoczne efekty finansowe. U nas takich firm nie ma, więc wyniki nigdy nie były imponujące. Większy niepokój budzi natomiast brak widocznego postępu i zmniejszające się zainteresowanie wynalazczością w ogóle.

W ubiegłym roku w województwie łomżyńskim zgłoszono 317 projektów wynalazczych, tzn. tyle samo, co w 1985. Przyjęto z nich 270, a zastosowano 206. Uzyskane efekty ekonomiczne wyniosły 177 milionów złotych, tj. o 16,4 proc. więcej niż rok wcześniej. Zważywszy jednak na 18,5-procentową inflację, oznacza to wyraźny spadek. Jeden zastosowany projekt przyniósł 859 000 złotych efektów, a każda zainwestowana w racjonalizację złotówka — 11,86 zł oszczędności.

Wśród przedsiębiorstw niekwe-

stionowane pierwsze miejsce zajmują Zakłady Płyt Wiórowych w Grajewie, w których zgłoszono 41 projektów; zarobili na nich prawie 119 milionów złotych. Przewagę „Płyt” najlepiej ilustruje fakt, że drugie w kolejności Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane oszczędziło dzięki racjonalizatorom „zaledwie” 11 milionów złotych.

Kilka słów o autorach. Było ich w ubiegłym roku 307 (o 76 mniej niż w 1985), w tym 194 inżynierów i 112 robotników (o 22 mniej niż w 1985), a 62 nie przekroczyło 30 roku życia. Szczególnie niepokoi nie wielki udział młodzieży. W tego rocznej edycji Turnieju Młodych Mistrzów Techniki w żadnej kategorii nie przyznano pierwszego miejsca, a żadna z nadesłanych prac nie kwalifikowała się do wystąpienia na eliminacje centralne. Zastana wiążące jest to, że tylko jedna szkoła (ZSO w Wysokiem Mazowieckiem) zgłosiła swoich uczniów do Turnieju, a przecież do konkursu dopuszczono również prace dyplomowe. Czyżby ani jedna z nich nie była warta uwagi? (jon)

zdarzenia



ulice przed szansą

Dziury, wyboje, błoto — to codzienne obrazy na ulicach naszych miast. Z 350 kilometrów dróg miejskich w 12 miastach województwa, tylko 144 ma nawierzchnię asfaltową, a aż 90 — to drogi gruntowe! Jazda samochodem w takich warunkach to nie komfort, ale zagrożenie pojazdu. Wiele do życzenia pozostawia również bezpieczeństwo ruchu.

Utrzymaniem dróg miejskich zajmuje się 7 zakładów drogowych (w ramach przedsiębiorstw gospodarki komunalnej) oraz 5 zakładów budżetowych. Są one słabo wyposażone w sprzęt; zatrudniają niewielu pracowników (wszystkie — ok. 80 osób). W praktyce ich działalność sprowadza się do przysłowiowego łatania dziur; na poważniejsze prace nie pozwala ani „potencjał” wykonawczy, ani środki finansowe (pochodzące z budżetu rad narodowych).

Jak wydzwignąć drogownictwo miejskie z upadku? Przesłanki zmian na lepsze wprowadza ustawa drogowa z roku 1985; na jej mocy w wielu województwach powstały już nowe przedsiębiorstwa: wojewódzkie dyrekcje dróg miejskich, których zadaniem jest skupienie i wzmocnienie „potencjału” wykonawczego (przejmują od gospodarki komunalnej zakłady drogowe), programowanie rozwoju tej dziedziny oraz projektowanie konkretnych inwestycji i nadzór nad ich wykonaniem. Instytucja taka powstała również w naszym województwie; na razie jako jednostka budżetowa, WDDM zajmie się w pierwszej kolejności leżącym odłogiem projektowaniem dróg miejskich oraz nadzorem inwestycyjnym. W dalszej perspektywie uzyska status przedsiębiorstwa (planowane jest przejęcie zakładów drogowych i wzmocnienie wykonawstwa). Nie nastąpi to szybko; brakuje pieniędzy na zakup specjalistycznego sprzętu. (mak)

Roman Sobiecki, absolwent Wydziału Ekonomiki Produkcji SGPiS w Warszawie, pracownik naukowy tej uczelni, od 2 lipca jest przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej w Łomży.

— Jak wygląda wieś, widziana oczami naukowca, znawcy teorii rolnych?

— Patrząc z perspektywy historycznej, przede wszystkim jako „poligon” wdrażania wielu nieudanych koncepcji jej przebudowy społeczno-ekonomicznej. Mówię zdecydowanie: „nieudanych”, ponieważ sam pochodzę ze wsi (w Ciechanowskim), od czasów szkolnych jestem działaczem ZMW i mam możliwość weryfikowania tych teorii w życiu.

— Co było ich główną słabością?

— Oderwanie od realiów, doktrynerstwo (próby wcielania w życie teorii klasycznych, lecz w zwałgryzowany sposób), nieliczenie się z mentalnością chłopów, ich kulturą, specyfiką życia w tym środowisku. Wprowadziły chaos zarówno w sferze produkcji, jak i ogólnych systemach wartości. Były to teorie w sferze skutkach, niestety, godzące w interes wsi.

— A konkretnie?

— W kraju, gdzie dominowało rolnictwo indywidualne, przez długie lata właściciele gospodarstw nie byli pewni swej przyszłości. Zapis konstytucyjny wreszcie tę sprawę przesądził, ale nie znaczy to, że wieś ma już przed sobą jasne perspektywy.

— Co je zaciemnia?

— Jest to temat na wielką rozprawę. Postaram się w uproszczeniu przedstawić główny problem. Od strony ekonomicznej patrząc, występuje kilkukrotny dysparytet (nierówność) dochodów rolnictwa i sfery pozarolniczej (na niekorzyść rolnictwa). W obrębie samego rolnictwa dochody te są zróżnicowane; niewielką grupę (5 proc.) stanowią



droga do świata

U Olbrysiów w Dębniakach drzwi się nie zamykają: przyjeżdżają ludzie z daleka i bliska, żeby się dowiedzieć, jak dawniej na Kurpiach bywało. Poważni naukowcy interesują się kunsztem pana Bolesława, opisują wytwarzane przez niego unikalne skrzypce i ligawki, wgłębiają się w melodię kurpiowskich pieśni. Młodzież szkolna ogląda — urządzony przez panią Helenę przy pomocy pracowników Skansenu w Nowogrodzie — alkerz, podziwia gospodarkę przy robocie w niewielkim warsztacie.

— Zawsze tak było — mówi Olbrysiowa — jak sięgnę pamięcią: ile razy kto do Dębniaka przyjechał, czy to nauczyciel, czy geometra, czy urzędnik jaki, zaraz go sołtys do nas prowadził.

Pani Helena, choć już dawno przekroczyła siedemdziesiątkę, nadal cieszy się opinią najlepszej we wsi gospodyni. Gdy była młodsza, mało kto dorównał jej w robocie. Dziś mówi w chwilach zadumy i złego samopoczucia (dokucza jej astma):

— Gdyby to człek rodzący się wiedział, jaki los go czeka, kto wie, czy by się zgodził żyć.

Ich los kreśliła ciężka praca. Jej gniazdo rodzinne było w Dębniakach, o dwie zagrody za drogą, jego — w niewielkiej wsi Przeczniak. Olbrysiowie (matka i dzieci, ojciec zmarł na wysiedleniu w Rosji) sprowadzili się do Dębniaka po I wojnie światowej. Przez długie lata mieszkali w lichej szopie; ziemi mieli niewiele, kilka morgów. Przy

życiu trzymały rodzinę złote ręce Bolesława, który potrafił i dom postawić, i z drewna wszystko wystrugać, i na zabawie zagrać. Gdy dowiedział się o jego talentach Adam Chętnik, stał się częstym gościem w Dębniakach.

Pobrali się w roku 1932. Olbrysiowa jeszcze dziś wzrusza się na wspomnienie tamtych czasów: — Matka płakała: „Gdzie ty pójdziesz, w taką nędzę! Tam siedzieć nie ma gdzie”. A ja nie słuchałam. To co, że nie miał ziemi? Ale w głowie miał rozum.

Domek, który wybudowali jeszcze przed wojną, do dziś należy do najładniejszych we wsi. — On był murarzem, a ja robiłam za pomocnika. We dwoje żelmy postavili — mówi z dumą Olbrysiowa. — Przy tej robocie ręce do krwi miałam pokaleczone.

Po wojnie Adam Chętnik na stałe zatrudnił pana Bolesława w nowogrodzkim Skansenie. Wtedy zaczęła się wielka przygoda obojga Olbrysiów z zespołem folklorystycznym. Pan Bolesław grał, żona śpiewała i tańczyła. — Gdzie my nie byli! — Olbrysiowa wylicza nazwy miejscowości, które odwiedzili razem z zespołem. — Dobrze jest świat zobaczyć.

I zaraz daje się ponieść sentymentowi do śpiewu i tańca. Mówi, że przed wojną Dębniaki były wsią urodzonych tancerzy i śpiewaków. Choć praca w polu przy użyciu prymitywnych narzędzi do lekkich nie należała, żaden powrót ze żniw, wykopków czy sianokosów nie obywat się bez pieśni. Ludzie pracowali w kupie, jeden obok drugiego (poła ułożone były w szachownicę), to i łatwo dało się zebrać chór. Nie to, co dziś: każdy na swojej kolonii, sąsiad sąsiada nie widzi.

Dębniaki czekają na kolejne żniwa bez śpiewu, bez „Zielonej dąbrowy” i „Którędy, Jasiu, pojedziesz”. Gdy się skończy, nikt nie zaśpiewa przed wrotami: „Dożelim żyłka przy otłogu”. Pani Helena wraz z całym zespołem dwa lata temu wzięła udział w filmowaniu „Wesela kurpiowskiego” — znanego widowiska księdza Skierkowskiego. Robili to filmowcy z Warszawy, którzy obiecali wrócić na Kurpie, żeby nagrać jeszcze jedną część, ale rok minął i nikogo nie widać. — Szkoda — wzdycha Olbrysiowa — szkoda.

Szkoda jej niepowtarzalnej okazji do zatańczenia prawdziwego powolniaka, oberka, poleczki, do zanieśienia się rozlewną, smętną frazą. Może jeszcze przyjadą? (mak)

tę tego swoistego „kredytu”. Tylko, niestety, sprawa się skomplikowała z powodu kryzysu.

— Rzeczywiście, stworzenie tzw. infrastruktury socjalnej na poziomie zbliżonym do miejskiego wymaga olbrzymich pieniędzy, których państwo nie może dać. Ale czy przy takim rozdrobnieniu gospodarstw, jakie np. występuje w naszym województwie, jest w ogóle możliwe rozwiązanie wszystkich problemów socjalnych? Żadne nakłady nie uwolnią rolnika od kręcenia się w kołko po polu i zagrodzie od świtu do nocy.

— Tak, to jest rzeczywiście poważny problem, choć na marginesie zaznaczę, że struktura gospodarstw indywidualnych w Łomżyńskim jest jedną z lepszych w kraju. W innych regionach występuje rozdrobnienie znacznie większe. Uważam, że rozwiązanie tego problemu to kwestia czasu. Jeśli rolnicy będą pewni swego warsztatu pracy, najbardziej efektywne formy gospodarowania powstaną w sposób naturalny. Trudno teraz powiedzieć, co to będzie: może zespoły, może spółki czy inne formy prostej kooperacji, formalne i nieformalne. O to się nie martwię. Jeśli nikt z zewnątrz nie będzie ingerował, rolnicy sami poradzą sobie z tym problemem, wybierając to, co będzie dla nich najkorzystniejsze. Wracając do warunków życia: rolnicy wiedzą, że państwo nie ma pieniędzy na inwestycje; nie czekają na gotowe, choć im się to słusznie należy. Sami dużo budują, domagają się tylko wsparcia. W takim zresztą duchu Związek Młodzieży Wiejskiej kształtuje również postawy młodzieży.

Rozmawiała
MARIA KACZYŃSKA



nie czekamy na gotowe

rzej niż w mieście, jego dzieci skazane są na gorsze szkoły, a w konsekwencji — gorszy rozwój ogólny. I tak dalej. Rolnicy, zwłaszcza młodzi, coraz częściej stawiają pytanie: „Jak długo jeszcze będziemy ludźmi kategorii B?”

— Chodziłoby zatem o wyrównanie dysproporcji w poziomie życia?

— Tak, Ale najpierw trzeba oczy-

ścić przedpole, czyli upowszechnić w społeczeństwie prawdziwy obraz wsi: żeby miasto nie utożsamiało wszystkich rolników z nieliczną grupą milionerów. Nasza organizacja stawia to sobie za jeden z głównych celów. Mówimy wyraźnie: przez wiele lat wieś więcej dawała, niż brała. Chłopi zawsze popierali ustrój, władzę ludową. Czas na spła-

nicy wiedzą, że państwo nie ma pieniędzy na inwestycje; nie czekają na gotowe, choć im się to słusznie należy. Sami dużo budują, domagają się tylko wsparcia. W takim zresztą duchu Związek Młodzieży Wiejskiej kształtuje również postawy młodzieży.

ludzie i sprawy



G ościliśmy nie tak dawno w „Kontaktach” zastępcę redaktora naczelnego zaprzyjaźnionego pisma z Widina, Iwana Żniwkowa. Nasz bułgarski kolega Łomżę i województwo znał do tej pory wyłącznie z opowiadań, nie wiedziawszy, że pobyt dostarczył mu kilku zdziwień. Na przykład, kiedy usłyszał o szkole budowanej w czynnym społecznym przez rolników spod Ciechanowca, chciał zobaczyć na własne oczy coś, co nie mieściło mu się w głowie. Z własnego doświadczenia wiedział bowiem, że ludzi nie tak łatwo wyciągnąć z domów, choćby tylko do porządkowania parków czy ulic. Gdy zobaczył, łatwiej mu było uwierzyć, że polscy rolnicy budują nie tylko szkoły, ale i sklepy, domy kultury, remizy, ośrodki zdrowia, drogi, wodociągi...

Początkowo jego ogromne zaskoczenie mogło dziwić, ale przecież też mam w tej kwestii swoje zdi-

jest jeszcze aż tak dobrze, by nie dało się zrobić czegoś pożytecznego przy pomocy choćby samej tylko łopaty i grabi. Oczywiście, jeżeli dałoby się do tego przekonać odpowiednio wielu ludzi.

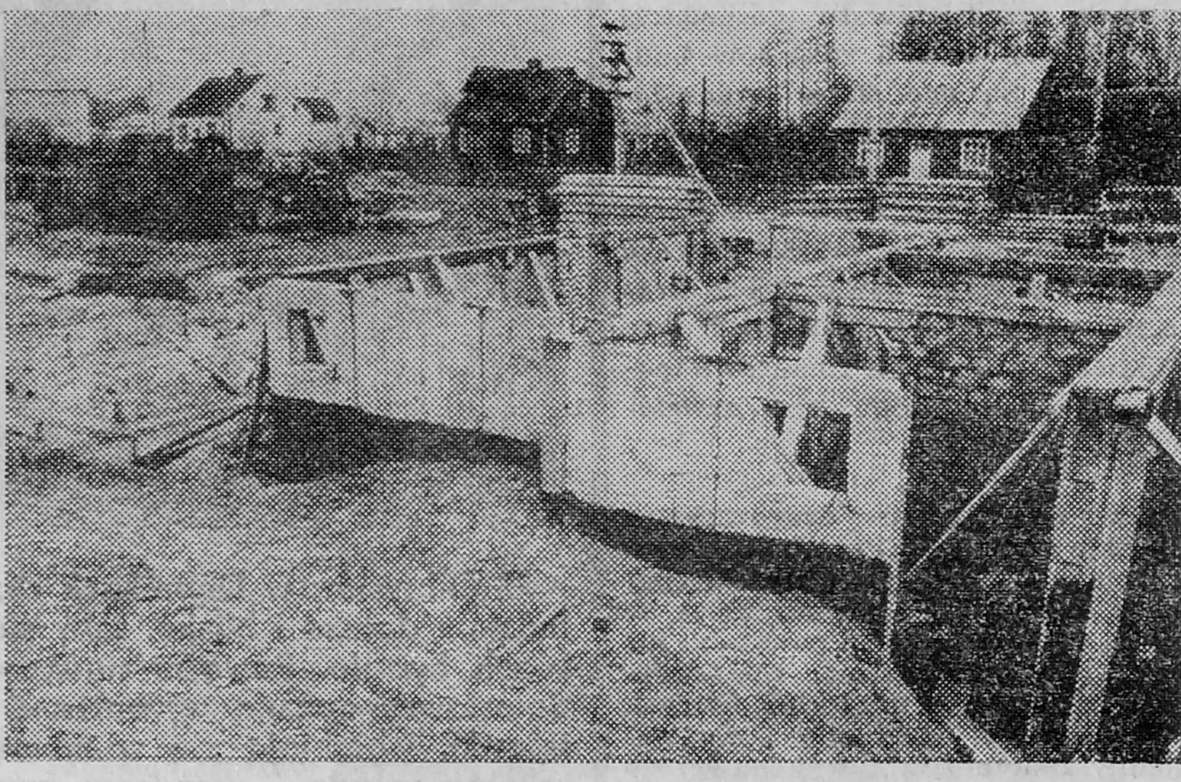
Przykładów nie muszę szukać daleko: najbliższy widać z okien mojego mieszkania. Chodzi o pokaźny obszar dzikich wietrzaków, położony między os. Jantar a Górką Zawadzką, w planach zagospodarowania przestrzennego Łomży przewidziany pod park i tereny usługowo-rekreacyjne. Od ośmiu lat słyszałem, że gros prac przy niwelo-

ba było wycofywać z drukarni, gdyż jakieś — niewątpliwie ważne — powody sprawiły, że do „przecięcia” nie doszło. Sprawa wypłynęła ponownie parę miesięcy później, z mniejszym może zadem, ale również beznadziejnym finałem. Przyjechał spychacz, rozgarnął trochę ziemi, paru naiwnych acz ambitnych pomachało łopatami i „niedziela czynu” została zaliczona. A parku jak nie było, tak nie ma.

Nie wiem, ile milionów wydano już na dokumentację techniczną. Nie dociekam, czy były sporządzone dwie czy trzy i czy nie zleci się

nek. Potem pojawili się panowie z gospodarki komunalnej, zniwelowali część rabatki między słupami, obsiali je trawą. Resztą zajęła się młodzież, zagoniona do łopat i grabi zapewne w ramach zajęć, które za młodych lat szkolnych nazywano „wychowaniem obywatelskim”, by w ten praktyczny sposób zapoznać ją z socjologiczno-polityczno-produkcyjnym pojęciem „czyn społeczny”. Dzieciarnia do roboty przykładła się gracko, efekty cieszyły oko parę tygodni. Do czasu, kiedy komuś przypomniało się, że lampy to nie drzewa, nie zakwitną, a już na pewno nie zaświecą, jeżeli nie podłączy się ich do sieci elektrycznej. Na piękne, zielone trawniki wjechała koparka. Kable zostały położone szybko i sprawnie, wykopy zasypywano ratami. Jesienią pojawi się pewnie paru panów z gospodarki komunalnej, którzy brunatne „blizny” po raz drugi obsieją trawą. I wszystko będzie w najlepszym porządku.

nosiciele



nadziei

wienia. A że trochę innej natury? Od dawna usiłuję choćby dociec, dlaczego to, co jest możliwe na wsi, absolutnie nie ma szans powodzenia w mieście. Tak, wiem, słyszałem te argumenty niejednokrotnie. Budowa parterowego pawiloniku handlowego czy utwardzenie kilkuset metrów polnej drogi, to zupełnie inna skala trudności technicznej, niż np. postawienie piętrowego kolosa czy wylanie asfaltowego „dywanika”, a zwolanie chłopów przez sołtysa jest o niebo łatwiejsze niż przeprowadzenie czynu partyjnego w osiedlu mieszkaniowym. Mógłbym wprowadzić podać parę przykładów tzw. budynków wielofunkcyjnych (przypuszczam, że wcale nie łatwiejszych technologicznie niż średniej wielkości przedszkole czy żłobek), wznoszonych trudem chłopskich i rzemieślniczych rąk, których pozadrość mogłaby wielu wsiom nawet wojewódzka Łomża, ale byłoby to spieranie się o detale, a nie o zasadę. Doprawdy nie chodzi mi o wielkie inwestycje. Myślę, że w żadnym z miast naszego województwa (i nie tylko) nie

waniu terenu, sadzeniu drzewek i krzewów, wytyczaniu ścieżek i boisk sportowych będzie można wykonać w czynie społecznym. Rozpoczęcie „inwestycji” przeciągało się jednak, a powodem był jakoby brak dokumentacji technicznej, którą musiało wykonać wyspecjalizowane biuro projektów. Rzecz jasna — warszawskie. Sprawa to przycichała, to znów ożywała. Któregoś roku oficjalne czynniki wyznaczyły już nawet datę inauguracyjnego przecięcia wstęgi przez Bardzo Ważną Osobowość. Pamiętam ten incydent szczególnie, gdyż niewiele brakowało, a byłbym sprawcą poważnego błędu politycznego. Napisałem bowiem krótką notatkę anonsującą radosny fakt odkurzenia zamierzonej inicjatywy. Notkę w ostatniej chwili trze-

piątej i dziesiątej. W powodzi absurdów byłoby to po prostu jeszcze jedno, wcale nie największe zaskoczenie. Żał mi tylko tych nie wyrosłych drzew i krzewów, nie rozkwitłych kwiatów, nie wytyczonych boisk. Szkoda mi też tego, co umarło, zanim zdążyło się narodzić — ludzkiego zaangażowania.

Zwłaszcza, że z błędów nie wyciąga się żadnych wniosków, co ilustruje kolejny przykład. Jesienią ubiegłego roku wkopano przy ul. Zawadzkiej słupy oświetleniowe (nawiasem mówiąc niektóre postawiono pośrodku chodnika, tak że zimą nie przejeździe już nim, jak bywało ongi, mały pług odśnieżający). Na parę miesięcy zmęczyło to wykonawcę, który przeniósł się na inny, niewątpliwie równie odpowiedzialny odci-

Tzn. byłoby, gdyby nie jedno „ale”. Nie chodzi mi już nawet o to, że bezmyślnie wywalono w błoto ileś tam tysięcy złotych. Do takiej organizacji pracy zdążyliśmy się przyzwyczaić wszyscy i nie bardzo już potrafimy sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Myślę raczej o tych chłopcach i dziewczętach, którym do niedawna wydawało się być może jeszcze, że pracując dla swojego miasta robią coś pożytecznego. Jeżeli do tej pory mieli jakieś złudzenia, jeżeli nie reagowali nerwową wysypką na same słowa „czyn społeczny”, to teraz — nie mam wątpliwości — nabawili się trwałej alergii. Trzymajmy tak dalej, a gdy za trzydzieści parę lat ogłoszony zostanie wreszcie powszechny czyn przy zakładaniu parku w Łomży, poprosimy rolników; może do tego czasu wybudują już wszystko u siebie i w ramach zbliżenia wsi z miastem uporządkują także Łomżę.

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

zwrot listu

W nawiązaniu do notatki („Śpięcia”, „Kontakty” nr 18/87) dotyczącej bezpodstawnego zwrotu listu, Wojewódzki Urząd Poczty w Łomży uprzejmie informuje, że w trakcie przeprowadzonych wyjaśnień nie zdołano ustalić przyczyny zwrotu.

Należy przypuszczać, iż zwrot mógł nastąpić w wyniku mylnego skierowania przez pracowników dokonujących segregacji przesyłek.

Wojewódzki Urząd Poczty w Łomży za pośrednictwem redakcji pragnie przeprosić nadawcę listu za zaistniały fakt oraz przykrość wynikłą z tego tytułu.

Mgr WŁADYSŁAW MRÓWKA
dyrektor WUP w Łomży

dojeżdżanie

W 18 numerze tygodnika został zamieszczony list uczniów ZSR w Jeżewie Starym. Uczniowie skarżyli się, iż autobus relacji Łomża-Białystok nie zatrzymuje się na przystankach: Rudniki, Targonie i Zawady. W związku z tym dyrekcja Oddziału KPKS w Łomży uprzejmie wyjaśnia, że bilety dla ZSR w Jeżewie zostały sprzedane przez Oddział Osobowy KPKS w Białymsto-

ku. A więc tutejszy Oddział nie był w stanie poinformować kierowców o konieczności rezerwowania potrzebnej ilości miejsc dla posiadaczy biletów szkolnych. Po otrzymaniu sygnału o trudnościach w dojazdach młodzieży do szkoły, Oddział KPKS w Łomży zwrócił się do Oddziału Osobowego KPKS w Białymstoku z prośbą o przesłanie wykazu ilości sprzedanych biletów z poszczególnych przystanków. Natychmiast po otrzymaniu tego wykazu poinformowaliśmy kierowców obsługujących kursy Łomża-Białystok o obowiązku zabierania z przystanków młodzieży posiadającej bilety szkolne.

Za wcześniejsze kłopoty w dojazdach do szkoły dyrekcja Oddziału KPKS w Łomży przeprasza zainteresowanych.

Mgr inż. WŁADYSŁAW LACH
dyrektor Oddziału KPKS w Łomży

naprawa ciągnika

W związku z zamieszczoną notatką („Śpięcia”, „Kontakty” nr 25/87), dotyczącą naprawy ciągnika przez POM w Łomży, wyjaśniam, że zakład nasz 28 kwietnia br. przyjął zgłoszenie od rolnika Józefa Ma-

kowskiego z Małachowa na naprawę gwarancyjną silnika Ursusa C-355. Silnik ten był po naprawie głównej z gwarancją udzieloną przez Zakład Naprawczo-Produkcyjny Mechanizacji Rolnictwa w Białymstoku, a zakupiony i zamontowany do ciągnika przez SKR Wizna. Po rozpatrzeniu reklamacji 8 maja silnik przekazaliśmy gwarantowi, tj. ZN-PMR w Białymstoku — bezpośrednio wykonawcy poprzedniej naprawy, aby teraz dokonał remontu. Pomimo wielokrotnych interwencji silnik nie został naprawiony w obowiązującym terminie (14 dni). Po jego upływie wydaliśmy użytkownikowi zaświadczenie stwierdzające powyższe fakty. Dokument ten uprawniał rolnika do żądania od sprzedawcy (SKR Wizna) lub bezpośrednio od gwaranta wydania mu nowego silnika. O tych uprawnieniach rolnik został poinformowany, gdy odbierał zaświadczenie. Ale nie skorzystał z przysługujących mu uprawnień. Po naprawie silnik odebraliśmy z Zakładu Naprawczo-Produkcyjnego Mechanizacji Rolnictwa w Białymstoku 12 czerwca. Rolnik odebrał od nas ciągnik po wykonanej naprawie 23 czerwca br.

Inż. BRONISŁAW JEZIEŃSKI
zastępca dyrektora POM w Łomży

podróż autobusem

W 26 numerze „Kontaktów” ukazała się notatka na temat kursu autobusu relacji Elk-Grójec.

W przedmiotowej sprawie zostało przeprowadzone szczegółowe postępowanie wyjaśniające. Według posiadanych dokumentów przewoźnych oraz wyjaśnień zebranych od świadków wynika, że kierowca odjechał z Elku z kompletem miejsc siedzących. Problematyczną jest jednak sprawa ilości miejsc siedzących, bowiem autobus marki Jelcz posiada miejsca siedzące rozkładane. Nie możemy ustalić, czy te miejsca były również zajęte. Uważamy jednak (według naszego rozeznania), że w zasadzie miejsca te nie są używane. W związku z tym w stosunku do kierowcy zastosowaliśmy odpowiednie środki dyscyplinarne i wychowawcze.

Na zakończenie pragniemy wszystkich zainteresowanych przeprosić oraz poinformować, że dokładać będziemy wszelkich starań, by podróżni byli zadowoleni ze świadczonych przez nasze przedsiębiorstwo usług.

Mgr inż. WŁADYSŁAW LACH
dyrektor Oddziału KPKS w Łomży

co po krytyce



O zarobkach lekarzy krążą różne mity. Zasadnicze płace — nawet renomowanych specjalistów — są jednak niewątpliwie skandalicznie niskie. Kardiolog dostaje 14-16 tysięcy, a z podatkami około 20. Z reguły lekarze nie ograniczają się więc do jednego etatu, lecz „łapią” różne połówki, ćwiartki, konsultacje, nocne dyżury i — kto może — prywatne praktyki. Są więc wciąż zaafektowani, przemęczeni, często poirytowani. Spóźniają się do jednej przychodni, urywają wcześniej z drugiej, by „wypracować” czas na zadośćuczynienie obowiązkom np. lekarza szkolnego.

Autorytet lekarza, podobnie jak innych — ongiś prestiżowych — zawodów, spada. Obniżanie jego rangi zaczęło się w latach pięćdziesiątych, gdy obowiązywała teza, że prawdziwa praca to kopanie węgla, hartowanie stali czy szycie butów, natomiast pracownicy umysłowi (w tym dbający o dobro dla człowieka największe — życie i zdrowie) byli uznani za „nieprodukcyjnych”, czyli pośledniej wycenianych. Czas te zaliczono już wprawdzie do służby minionych, myślenie się zmieniło, lecz bez istotnego wpływu na praktykę. I o ile przed wojną lekarz wtykał czasem pacjentowi parę groszy na leki, obecnie niejednokrotnie pacjent wsuwa lekarzowi banknot do kieszonki...

Zamiast godziwych zarobków stosuje się „znaczne ustępstwa w interpretacjach prawnych dotyczących dobrowolnych wyrazów wdzięczności ex post” oraz „necesse” lekarza talonem, mieszkaniem, funkcją itp. Czym i jak skutecznie nęci Łomża? Wiceprezydent Humeńczuk wymienił preferencje przy przydziale działek budowlanych, pozyskiwanie — drogą wykupu przez służbę zdrowia od spółdzielni mieszkaniowych — dwudziestu, a w bieżącym roku trzydziestu mieszkań oraz przyznawanie abonamentów telefonicznych poza kolejnością. Oferta jest, prawdę mówiąc, żenująca. W Polsce zarówno znacznie mniejsze miasta, jak i większe, np. Olsztyn, oferują domy willowe; łomżyńskie spółdzielnie nie zgadzają się nawet na nieduży nadmetraż. Chwył z telefonem jest jeszcze bardziej żałosny: to w końcu w interesie społeczeństwa, czyli pacjentów, leży, by lekarz był osiągalny telefonicznie.

W ub. roku z powodów mieszkaniowych „wymigrowało” z Łomży siedemnastu lekarzy. Najdotkliwiej odczuwalny jest — podobnie jak w całej Polsce — brak stomatologów. W 1985 r. udało się lekarzowi wojewódzkiemu pozyskać dziewięciu. Prawdziwy sukces, gdyż „krajowy przyrost” dentystów wyniósł... cztery osoby. W 1986 r. utrzymaliśmy swój stan posiadania, a kraj zubożał o 36 stomatologów. Dopiero od roku czy dwóch zwiększono limity dla tej specjalności na akademiach medycznych. Na poprawę trzeba będzie jeszcze poczekać. Tym bardziej, że wielu lekarzy odchodzi na wcześniejszą emeryturę lub rentę: do tradycyjnych chorób zawodowych, czyli skrzywień kręgosłupa i żyłaków, doszły — po wprowadzeniu wiertarek szybkoobrotowych — nieuniknione schorzenia szyi, barku i ręki.

W Łomży brakuje także pediatrów, internistów, anatomopatologów, okulistów, psychiatrów, urologów... Kolejki w Wojewódzkich Przychodniach i Poradniach Specjalistycznych świadczą o tym najlepiej. Nie można jednak nie dostrzec, że w budynkach przy Szosie Zambrowskiej pacjenci mają przynajmniej komfort wyczekiwania: przestronne korytarze, krzeselka, lśniąca posadzka. W zaledwie znośnych warunkach pracują natomiast przychodnie miejskie: rejonowe, przemysłowe, gabinety szkolne.

Szpital, niegdyś miejski, na 260 łóżek, obecnie wojewódzki, w którym udało się pomieścić ich 382, jest w technicznej agonii. Nowy ma być — według ostatnich ustaleń — oddany do użytku w przyszłym roku. Prywatnie jednak mało kto w to wierzy. Nawiasem mówiąc, kierownik budowy powinien wraz ze swymi ludźmi pracować teraz dobrowolnie jak katorżnik choćby d'alego, by zasłużyć na łaskawość sądu. Prokuratura bowiem szacuje wstępnie szkody za popełnione wskutek niedopatrzona kaloryfery na 6 milionów złotych.

choroby służby zdrowia

DANUTA
WRONISZEWSKA

nika on z wiedzy pozwalającej na utrzymanie przy życiu bardzo wrażliwych organizmów. Dawniej poród stanowił pierwszy etap naturalnej selekcji.

Niewesołe oblicza opieki zdrowotnej i socjalnej obserwują na co dzień ludzie starzy, kalecy, upośledzeni fizycznie lub umysłowo. Od co najmniej dziesięciu lat mówi się o potrzebie stworzenia w Łomży Domu Pogodnej Starości. Samotni lub opuszczeni przez krewnych, schorowani starszakiowie mieszkają w szpitalach lub wykorzystując — chwilowo wolne — łóżka. Nielicznym udaje się dostać miejsce w innym województwie. Ogłoszenie rozpoczęcia budowy łomżyńskiego Domu Weteranów Pracy i Walki jest miłą wiadomością, lecz do czasu jej zakończenia wielu oczekujących definitywnie wypadnie z kolejki...

Starania władz miejskich o adaptowanie niektórych budynków spółdzielczych do potrzeb ludzi niepełnosprawnych spełzły na niczym. Adaptacja jest bowiem „nieopłacalna”. Dla kogo — uzasadniający nie precyzują.

Powiększa się margines społecznego ubóstwa. Do Urzędu Miasta, zakładów pracy i organizacji społecznych pracownicy socjalni — po dokonaniu 1038 wywiadów — złożyli wnioski o pomoc materialną i fi-

nansową. Potrzebujących takiego wsparcia jest znacznie więcej. Często jednak ludzie wstydzą się przyznać do biedy. Inna sprawa, że ilość pieniędzy na zapomogi nie jest bynajmniej imponująca i wszystkich faktycznie potrzebujących nie udało się obdzielić.

Znalazło się natomiast w budżecie ponad 50 milionów złotych na Pogotowie Penicylinowe (na który to wydatek nie zdobył się np. Białystok). Koszt zastrzyku wykonanego u pacjenta w domu wynosi 1036 zł, a w ośrodku zdrowia — 40 zł. Wydaje się, że nawet lekarz wojewódzki nie jest do końca przekonany, czy uruchomienie tego pogotowia należy zaliczyć do niewątpliwych sukcesów łomżyńskiej służby zdrowia. Rodzi się bowiem pytanie, czy państwo powinno fundować jednym takie udogodnienia, gdy nie stać go na podstawową pomoc innym.

Wbrew pozorom statystyka zwolnień lekarskich nie może być wskaźnikiem zdrowotności. 80 tys. ludzi pracy ziemi łomżyńskiej w 1985 r. otrzymało w sumie 3509, a w 1986 — 3496 lat zwolnienia. Jest to dobra, siódma lokata w Polsce. Do wystawiania niektórych wątpliwych zwolnień lekarz jest niejako zobowiązany. Np. złamany palec, nawet u lewej ręki, gwarantuje dwa miesiące urlopowania, choćby jego właściciel pracował wyłącznie głową i prawą ręką. Oczywiście, można ze zwolnienia nie korzystać, ale gorliwców jest mało. Chyba, że chodzi o rolnika lub tzw. przywaciarza.

Łomżyńska służba zdrowia udziela rocznie 32-33 tys. porad. Ile niepotrzebnych? Po to na przykład, by zdobyć upragnione L-4... Zbyt wiele jest też nieuzasadnionych wezwań pogotowia ratunkowego. Lekarze do dziś pamiętają, że gdy zachorował bardzo zasłużony dr Piaszczyński, niesiono go do szpitala na kocu, bo wszystkie karetki były w terenie. Jak się później okazało — do błahych przypadków. Sytuacja nie należała i — niestety — wciąż nie należy do wyjątkowych.

Ostatnio społeczeństwo postuluje m.in. wolny wybór lekarza, stworzenie Spółdzielni Lekarskiej i nowych przychodni przemysłowych, poprawę dyscypliny pracy i funkcjonowania gabinetów lekarskich, głównie stomatologicznych. Wybierać lekarza będziemy mogli już wkrótce, choć — jak wskazują doświadczenia innych miast — nie pociąga to za sobą żadnej rewolucji. Spółdzielnia Lekarska też zostanie utworzona, przy ul. Wagi, mimo sceptycznego nastawienia środowiska medycznego. Spółdzielnie w dobie reformy i specyficznego ustawienia systemu podatkowego często plałtują. Kilku łomżyńskich lekarzy zdecydowało się na eksperyment. Białostockim specjalistom przyjazdy do Łomży na obecnych warunkach absolutnie się nie kalkuluje. Kolejnych przychodni przemysłowych nie będzie: rozdrabnianie tzw. sił i środków nie wychodzi bowiem medycznie i pacjentom na dobre.

Łomżyńska służba zdrowia zatrudnia 1600 pracowników i obsługuje nie tylko 53-tysięczną rzeszę łomżyńskich, lecz także najbardziej skomplikowane przypadki chorób i udziela specjalistycznych porad mieszkańcom województwa. Na poziom tych usług rzutują kwalifikacje i etyka kadry medycznej, organizacja i dyscyplina pracy, baza lokalowa, wyposażenie w sprzęt, leki, a także kultura osobista (pracowników oraz pacjentów). Brak któregośkolwiek z tych elementów wpływa na całość oceny, a zastępowanie jednego drugim, np. lekarstwa uśmiechem, nie gwarantuje pożądanego efektu. Niestety, niedomagania i braki występują we wszystkich elementach. Cała bowiem polska służba zdrowia jest chora. Narzekają lekarze, pielęgniarki, sanitariusze; jeszcze głośniejsze narzekają pacjenci. Łomżyńskie leczenie nie zajmuje wprawdzie miejsca w ostatniej piątostce, są nawet dziedziny czy poczynania, w których plasuje się na bardzo wysokich pozycjach, jednak wyraźna poprawa nie jest możliwa bez radykalnych zmian w funkcjonowaniu całej służby zdrowia. Półśrodki, ćwierćeksperymenty i pseudo-reformy tylko na krótko podniecają nadzieje pacjentów, by potem jeszcze bardziej pogłębić ich rozgoryczenie.

Fot. GABORA LURINCZEGO (Jak i wszystkie nie podpisane zdjęcia w numerze)



kontakty kontaktów

zasilek rodzinny

Mam niebanalny problem, bo dotyczy zasiłku rodzinnego. Mój mąż, Wiesław Lubowicki, kiedy pracował w Wytwórczo-Usługowej Spółdzielni Pracy w Wysokiem Mazowieckiem, otrzymywał zasiłek rodzinny na dwoje dzieci. Tak było do 10 listopada ubiegłego roku. Obecnie mąż pracuje w Przedsiębiorstwie Budownictwa Ogólnego w Ciechanowcu. Nowy zakład pracy przestał płacić zasiłek, choć mąż złożył wniosek i zaświadczanie z mojej pracy, że przebywam na urlopie wychowawczym i nie pobieram rodzinnego. Mężowi tłumaczono, że zasiłek rodzinny nam nie przysługuje, gdyż ja otrzymuję zasiłek wychowawczy w wysokości 3250 zł. Zaznaczam, że średnia zarobków męża wynosi około 16 tysięcy złotych.

Czy faktycznie nie należy nam się ten zasiłek?

KRYSTYNA LUBOWICKA
Szepietowo

OD REDAKCJI: problem pani Krystyny Lubowickiej został już po myślnie rozwiązany. Zapewniła nas o tym Jolanta Mejer, referent do spraw placu Przedsiębiorstwa Budownictwa Ogólnego w Ciechanowcu. Mąż naszej Czytelniczki otrzymał już zasiłek rodziny z wyrównaniem za pół roku. A na tak późne uregulowanie sprawy wpłynął podobno brak pełnej dokumentacji.

kłopoty z wodą

W 24 numerze tygodnika „Kontakty” został zamieszczony list czytelników ze Szczuczyna, mieszkańców bloku przy ulicy Kilińskiego 1. Skarżą się oni na długotrwałe kłopoty z dostawą wody.

Istotnie prawdą jest, jak piszą mieszkańcy, iż od 20 lat występuje problem wody w ich budynku. Jednakże podobna sytuacja miała miejsce również w całym mieście. W związku z tym podjęto szereg przedsięwzięć, aby rozwiązać ten istotny dla naszego miasta problem. W 1981 roku oddano do użytku nowe ujęcie i stację uzdatniania wody na terenie POM-u. W 1985 roku doprowadzono do realizacji opracowanie programu ogólnego sieci i stacji wodociągowej w naszym mieście. Następnie opracowano projekt magistrali wodociągowej. W 1986 roku podjęto realizację tego zadania; pozwoli ono na doprowadzenie wody od źródła zasilania (POM Szczuczyn) do ulic: Łukowej, Nadstawnej, Sobieskiego i osiedla domków jednorodzinnych Pawełki. Zadanie to zakończymy w końcu bieżącego roku. Również do końca bieżącego roku od budowanej magistrali wodnej zasilone zostanie całe miasto, w tym budynek przy ulicy Kilińskiego 1.

Mgr inż. JAN NIEBRZYDOWSKI
naczelnik miasta i gminy
Szczuczyn

wspomnienia

Urodziłam się w Grajewie. W 1975 roku wyjechałam ze swojego miasta i przez 12 lat byłam tam tylko dwa razy. Obiecuję sobie, że wybiorę się kiedyś na dłuższą, ale czasu ciągle za mało i zawsze są sprawy ważniejsze. Technikum Budowlane ukończyłam w Białymstoku, razem z mężem mieszkaliśmy w Rajgrodzie, Kościanie, obecnie mieszkam w województwie zielonogórskim. Widziałam piękniejsze i ciekawsze miejsca, ale o stronach rodzinnych zawsze pamiętam. Teraz widzę lepiej ich piękno i zaniedbanie. Od kilku lat prenumeruję „Kontakty” i szukam w nich wiadomości o miejscach i ludziach mi znanych ze szkoły lub z pracy.

DOROTA SOKOŁ
Piaski

Czy małe spółdzielnie są ładne? Doświadczenia minionych lat wskazywały, iż tylko duże może być ładne. O duże trzeba dbać, duże trzeba wspomóc dotacjami. A małe? Małe poradzi sobie samo. Co najdziwniejsze, małe radzi sobie nieźle. I cudu żadnego w tym nie ma, po prostu są ludzie.

zawód: stolarz

Alfred Cudny nigdy nie oczekiwał pieczonych gołąbków. Wiedział, że pracować trzeba i to nie było jak, lecz dobrze. Od 16 roku życia terminował u stolarzy. Poznał zawód od podszewki i tylko dobrej roboty się nauczył. Zresztą, wtedy, w latach powojennych, każdy wiedział, że pracuje dla siebie i to, co robił, wykonywał dobrze.

— Zaraz po powrocie do Grajewa, z robót w Niemczech, zacząłem pracę w stolarni na Dwornej. Od 1946 roku ani razu nie spóźniłem się do pracy — oznajmia z dumą.

I chyba nie bez racji ma powód do dumy. Czuje się trochę zmieszany, do bohaterstwa nigdy nie pretendował. Mówić dużo też nie lubi. Całe życie normalnie pracował. Nic więcej, lecz i nic mniej. Był tylko zwykłym stolarzem, a jak powiada: prawdziwy stolarz robi wszystko, od kołyski po trumnę.

Stolarnia na Dwornej zawsze była spółdzielczą. Do 1951 roku była zakładem Spółdzielni Budowlanej, później Wytwórczo-Usługowej Spółdzielni Pracy.

— W latach pięćdziesiątych był to jeden z nowoczesniejszych zakładów w Grajewie — wspomina pan Alfred minione czasy. — Pracowali u nas najlepsi stolarze. Wykańczaliśmy Urząd Wojewódzki i Izbę Skarbową w Białymstoku. Pracowało się wtedy jak za św. Józefa.

Chciało się w nich pracować: pachniało lasem, brałem do ręki drewno pachnące żywicą. Nie potrzebne było mleko na odtrutkę.

W stolarni na Dwornej nie pachniało lasem i żywicą. Więcej w niej drzaź z płyty wiórowej. Duże, popękane ręce pana Alfreda przekładają ołówek stolarski, nie mogą znaleźć właściwego miejsca dla siebie.

— A jak teraz? — pytam.

— Teraz? Dzisiaj nikt z takiej pracy nie wyżyje, trzeba robić dużo i szybko. Płyta wiórowa po prostu śmierdzi. Jak może być produkt wysokiej jakości z płyty oklejanej papierem. Wkręt nie ma czego się w niej trzymać. Wszystko się zmieniało, nie zawsze na lepsze. Młodzi pytają o pieniądze, nie o pracę. Po miesiącu uważają się już za stolarzy, po roku zwalniali się i będą ślusarzami czy tokarzami. Niektórzy z nich nie bardzo wiedzą, jaki zawód mają, co umieją. A

REFORMA Z BLISKA

mocne ogniwo

WITOLD M. PATOKA

przecież każdy ma takie same ręce. Spółdzielczość także się zmienia, tu zawsze pracowaliśmy na straconej pozycji. Zawsze czegoś brak, zapomniałem już, jak dobry pilnik wygląda. Ostatnią partię 100 łózek, z powodu braku materiałów, robiliśmy trzy miesiące. Zawsze czegoś brak.

przy ulicy Elewatorskiej 2. Trudno tam trafić. To już prawie za miastem. Okazały budynek nie ma co się spodziewać. Jeden podłużny, kształtem bardziej przypomina magazyn średniej wielkości niż zakład wytwórczy. Każdy wolny skrawek wykorzystano na produkcję i składowanie mebli. Gabinet prezesa też trudno znaleźć. Za bocznymi drzwiami czeka wspinaczka po stromych schodach. Prawie na poddaszu mieszczą się trzy niewielkie pokoje. To biuro spółdzielni. Jednym słowem: władza poszła do góry. Nie pchnęły ją jednak wysokie aspiracje, lecz konieczność wygospodarowania nowych pomieszczeń na produkcję. Pokój prezesa nie pachnie skórą i mahoniem, najwyżej lentexem.

Kazimierz Organek przeszedł dopiero od roku, poprzednio był technologiem spółdzielni. Prezesowania starczy na dwóch, przeto o pomoc poprosił Witolda Chojnowskiego — też drzewiarza. W duecie chcą wprowadzić spółdzielnię na prostą. Czy im się uda?

— Prezesowanie to nie zawód, jak zawale, będę musiał odejść — mówi Kazimierz Organek.

Na razie raczej się udaje. Faktem jest, że plan 1986 roku wykonali w 133 proc. Zakładany przerób: 114 miliony, wykonany: 151,8. Wzrost wy-

nagrodzenia o 13 proc. ma pełne pokrycie we wzroście produkcji. Jest się czym pochwalić, jest z czego płacić podwyższone wynagrodzenie.

Reforma gospodarcza dla nikogo ze spółdzielców nie była nowym, 3xS nie było żadnym zaskoczeniem. Zawsze byli samowystarczalni i samofinansujący, najwyżej z samorządnością bywały kłopoty. Reklamy także nie wymaga szeroko popularizowany system brygadowy. Znany i stosowany był zawsze.

— Ile zarobimy, tyle podzielimy. Prosta, choć niedawno odkryta zależność zawsze stosowaliśmy — stwierdza prezes Organek. — Spółdzielczości nikt nie dotuje. Każdy więc chce pracować, gdyż jest bezpośrednio uzależniony od efektów swej pracy. Prezesowska rola polega na zapewnieniu załozce pracy.

Teoria bardzo prosta, praktyka już bardziej pokrętna. Trzeba zapewnić materiały, surowce, narzędzia i zbyć. A powiązanie wszystkich elementów już nie jest takie proste.

— Od zielonego światła dla spółdzielczości już mi w oczach czerwienieje — na poważnie żartuje prezes.

Wbrew pozorom spółdzielczość nigdy nie miała dobrych czasów. Zawsze jest drobna i mała, zawsze gdzieś na szarym końcu. Rozdzielni ki zapewniają dostawy zaległe na 4-5 miesięcy produkcji. Płyty wiórowej przyznano jedynie 100 metrów sześciennych.

— Resztę trzeba będzie dokombinować — mówią prezesi.

A jak? To już tajemnica stanowiska. Niedawno zakupili u producenta 144 pily niezbędne do produkcji. Pomógł kolega, który potrzebował 100 litrów lakieru. Czy tak można? Tak trzeba, inaczej nie będzie z czego produkować. Brakującą płytę wiórową trzeba zapewnić z dostaw materiałów niepełnowartościowych. Podobnie tarcicę, okucia, farby i lakiery.

— Naszą zaletą — stwierdza prezes — jest możliwość szybkiego przedstawienia produkcji w zależności od zasobów materiałowych. Jak otrzymaliśmy tarcicę z wiatrolomów, to produkowaliśmy trumny. Poszła seria 300 sztuk. Produkować nie jest prosto, sprzedawać też nie łatwo. Wbrew pozorom producent nadal szuka handlowca. Z lokalnymi odbiorcami różnie się rozmawia, są jakby mało kompetentni. Grajewskie regały młodzieżowe, biurka i łóżeczka piętrowe najlepiej sprzedają się w Warszawie, bo warszawscy handlowcy szukają nowych wyrobów i producentów. Chcą nowości i czują rynek.

Uwarunkowani realiami gospodarczymi spółdzielcy z Grajewa mówią, że mają dwa słabe ogniwa: zaopatrzenie i zbyć. Lecz nie mówią, że mają jedno mocne: ludzi.



Wszystko wykonywaliśmy ręcznie, ale to była dokładna robota. Wymagania były też inne, nie było miejsca na tandetę. Meble, które w latach pięćdziesiątych robiliśmy dla siebie, jeszcze teraz można ciągnąć po bruku i nie się im nie stanie. Ale wtedy robiliśmy z klejonego drewna obłożonego dwustronnie fornirami. Fornirowało się także inaczej, stoje były równo poukładane we wzory, brzegi zaokrąglone. Inne to było rzemiosło i inne stolarnie.

Jedynie prezesów nigdy spółdzielni nie brakowało. Alfred Cudny widział ich już 14. Sądzi, że niektórzy też chyba nie bardzo wiedzieli, jaki zawód mają. Ostatni dopiero zostali normalnie wybrani przez spółdzielców.

prezes to nie zawód

Zarząd Wytwórczo-Usługowej Spółdzielni Pracy w Grajewie mieści się



DRZWI ZNÓW OTWARTE

7

KONTAKTY
1987-07-26

— W Wydawnictwie „Iskry” złożyła Pani swój pamiętnik, pisany po wyjściu z więzienia. „Kontakty” zaczynają druk jego drugiej części, udostępnionej przez wydawcę. Co zawiera część pierwsza?

— Piszę tam przede wszystkim o swojej pracy w Pogotowiu; od 1969 roku jestem ciągle w tej samej placówce. Piszę też trochę o sobie: na studia dostałam się dopiero za drugim razem (brak punktów za pochodzenie). Był to dla mnie bardzo trudny okres. W tym też czasie wyszłam za mąż, urodziłam dwoje dzieci. Ale dałam sobie ze wszystkim radę. Poruszam tam wiele różnych problemów, m.in. narkomanii. Mam na ten temat inny pogląd niż Kosiński. Uważam, że problem jest sztucznie stworzony, a przez jego gloryfikację rośnie rzesza narkomanów. Nie ma też przymusowego leczenia. Uważam, że po odtruciu tzw. uzależnieni powinni przebywać w 3-letnich obozach pracy, w atmosferze izolacji, potępienia, nagany.

— Niektórzy lekarze uważają, że praca w pogotowiu to pewna deprecjacja zawodowa. Co Panią trzyma tak długo w tym samym miejscu?

— Po pierwsze: nie mam nad sobą szefa, sama jestem odpowiedzialna za wszystko, co robię. Po drugie: sama podejmuję wszystkie decyzje. Po trzecie: bardzo lubię tę pracę.

— W ciągłym napięciu, gotowości, nieraz wzywana z błahych powodów?

— Ale często też podejmuję natychmiastowe decyzje dla ratowania ludzkiego życia. Trzeba wkraczać w kłótnie, bijatyki, morderstwa (takie są najczęstsze wezwania), natychmiast rozwiązywać konfliktowe sytuacje, łagodzić, pomagać czasami nie tylko choremu. Osiemdziesiąt procent wezwań dotyczy właśnie takich przypadków: pijaków, pociętych, porażonych. Pojechaliśmy, na przykład, do młodej kobiety, która podcięła sobie żyłę, a tam towarzystwo, zabawa (dużo krwi, ale wielkiej krzywdy sobie nie zrobiła). Zabieramy ją, a ktoś pijany pyta, co będzie z dziećmi. Jedziemy więc do tych dzieci (mieszkała w pobliżu). Zima, a tu zniszczone mieszkanie, wybite okna, odcięte gaz i światło; troje głodnych dzieci w wieku 6, 4 i 2 lata. Najstarszy kradł mleko, bułki i przynosił młodszemu. „Co z mamą?” — pytam. A on: „Nie lubię, jak przychodzi, bo wypija nam mleko”. Byli tam sąsiedzi, nikt nie pomagał. Umieściliśmy dzieci w Izbie Dziecka. Wymogliam, by nie oddawać ich matce. Przez przypadek zostały uratowane. Takich faktów było więcej.

— Czy zawsze można pomóc?

— Łatwiej niż w przychodni rejonowej czy szpitalu. Na przykład: dużo jest starych, chorych ludzi bez opieki, których bardzo trudno umieścić w domu opieki społecznej. Przyjeżdżamy, zabieramy starszka do szpitala, a stamtąd już łatwo.

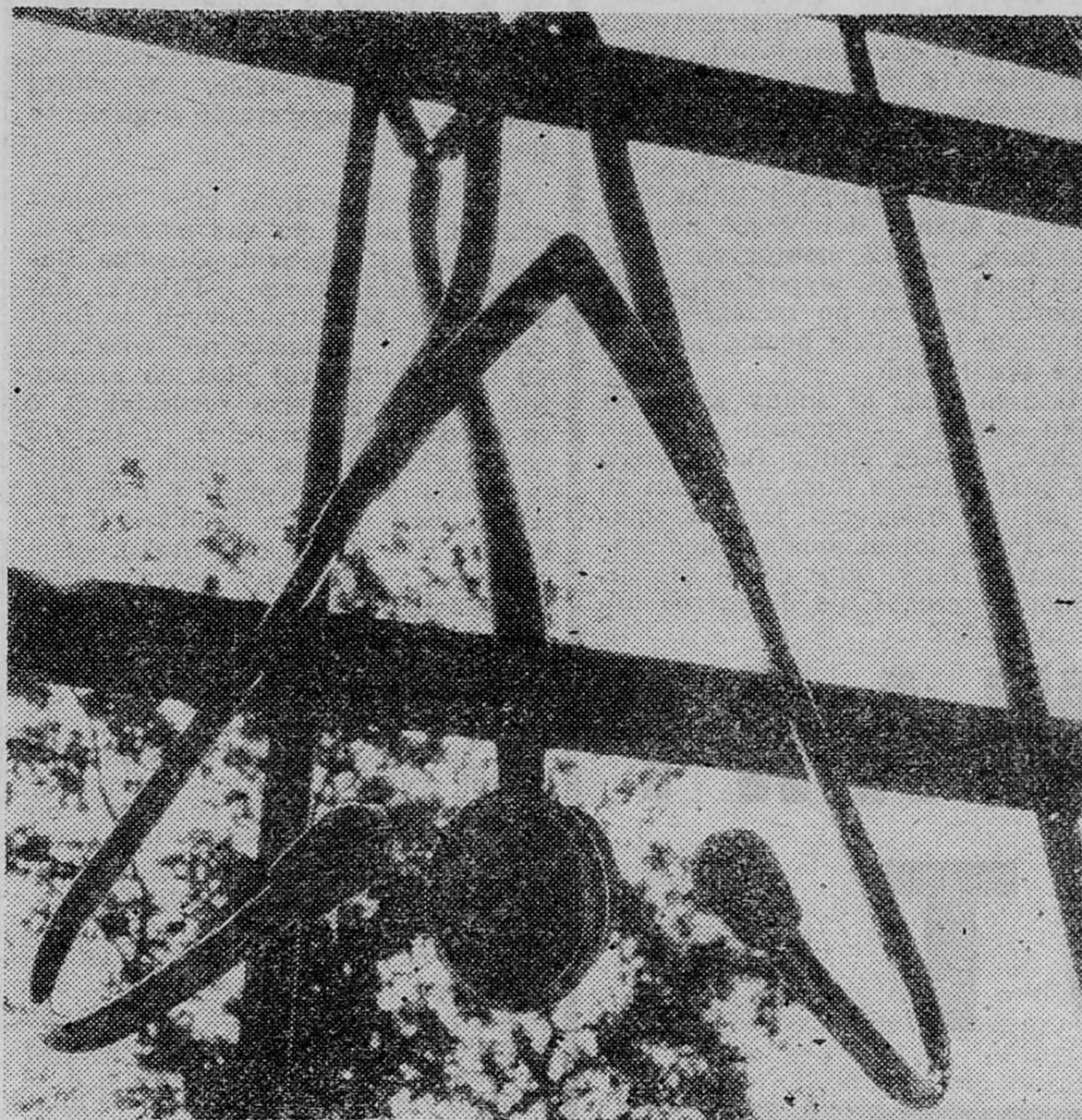
— W tę codzienność nagle wkradła się seria absurdalnych przypadków. Została Pani oskarżona wraz z zespołem karetki o okradzenie pijanego, leżącego na ulicy; aresztowana. „O co chodzi?” — Dowiódł się pani we właściwym czasie. Siedzieliśmy naprzeciw siebie i milczymy. Panowie się zmieniają, ja siedzę, mijają godziny” — pisze Pani w pamiętniku. Wyszła Pani po 13 miesiącach. Skąd wzięły się siły do przetrwania, do dalszej walki?

— Stąd, że wiedziałam od samego początku, iż całe to oskarżenie jest absurdem. Najpierw myślałam, że zostanie szybko wypuszczona z przeproszeniem. Potem uświadomiłam sobie, że to potrwa dłużej. Ustawiałam się „na czas”. Przecież musi się skończyć to uwikłanie niczym z Kafkowskiej historii Józefa K.

— Tymczasem w celi minęło pół roku, rok...

— Tak, to była tragedia. Czulałam się coraz bardziej bezsilna. Przez pierwsze trzy miesiące nie znalazłam sprawy, dopiero potem dostałam akta do ręki. Wtedy dowiedziałam się, że jestem oskarżona o rozbój z paragrafu 210 (przestępstwa z tego paragrafu kwalifikują się jako zbrodnie i grozi za nie kara od trzech lat pozbawienia wolności do 15 i do 25). W pierwszej chwili poraziła mnie ta dodatkowa absurdalność. Potem ten paragraf stał mi się dro-

gą, która godzina. Raz tylko odpowiedział: „Tu się nie liczy czas na godzinę, a na lata”. Chodziłyśmy na spacer; wybieg miał 4 na 3 metry kliteczki otoczonej 4,5-metrowym betonowym murem. Po tym murze chodził strażnik. Podczas spaceru nie wolno było rozmawiać. Któraś zapytała go jednak także o godzinę. „Niech pani nie pyta, on się nie zna na zegarze” — odpowiedziała jej inna. Strażnik ujął się honorem: „Trzecia za piętnaście”.



gi; drżałam, by go nie zmieniono. Tak wielkie oskarżenie było bezsensowne. Wiedziałam, że prawda zwycięży.

— Czego bała się Pani najbardziej?

— Amnestii. Paragrafu 210 nie obejmowała amnestia, ale w trakcie śledztwa można było zmienić kwalifikację czynu na pospolitą kradzież i wtedy zostałabym zwolniona na mocy amnestii. Od amnestii nie ma odwołania. Już nie można udowodnić swojej niewinności. Bałam się wtedy każdego trzaśnięcia drzwiami; bałam się, że idą po mnie, niosą wyrok, czyli akt łaski państwa. Wtedy nie byłoby już żadnego wyjścia. Wówczas chciałam siedzieć jak najdłużej.

— Czytając Pani pamiętnik odniosłam wrażenie, że zachowała Pani w zamknięciu jednak pewną niezależność. W jaki sposób?

— Bardzo prosty. Niektóre osoby przybierały bardzo agresywną postawę wobec funkcjonariuszy: „Bo ja jestem niewinna”. Błąd. Nie oni mnie aresztowali i nie oni są odpowiedzialni za moją sprawę. Oni są od tego, by mnie pilnować. Szybko się zorientowałam, jak funkcjonuje tam życie. Starałam się przestrzegać regulaminu, wyizolowałam się. Nie pytałam o nic, nie prosiłam. Głównym sposobem życia było tam milczenie, więc się nie odzywałam. Raz zapytałam strażnika,

— Do regulaminu chyba łatwiej się przystosować niż do ciągłego przebywania w zatłoczonej celi?

— Tak, to było bardzo trudne. Siedem kroków wzdłuż, dwa kroki w szerz; na tej przestrzeni cztery osoby, cztery posłania, cztery zydelskie bez oparcia; nie wolno nawet zbliżyć się do łóżek. Jedne kobiety ciągle mówiły, inne płakały. Od godziny 6.00 do 21.00 można siedzieć lub spacerować po celi na zmianę. Tyle że panowała tam idealna czystość. Same sprzątałyśmy, każda z nas musiała też dbać o swoją higienę. Na tym tle wybuchały awantury. Mogłam jednak czytać książki specjalistyczne, robić notatki.

— Więźniowie często popadają w stan apatii, zubożenia, abnegacji. Wtedy chyba trudno wymusić na nich dbałość o higienę.

— Właśnie. Mnie często przenoszono z celi do celi. Pewnego razu znalazłam się z kobietą, która dzień i noc płakała. Nic do niej nie docierało. Próbowalam z nią rozmawiać, dawałam jej książkę do czytania. Umilkła na chwilę. Trzymała ją w ręce. Spojrzałam: trzymała do „góry nogami”. Wysłałam ją do lekarza, by powiedział, że nie może spać. Lekarz orzekł, że gdyby go tu zamknęli, też by nie spał. Byli także dewianci religijni. Potrafili całymi godzinami śpiewać pieśni kościelne. Bronili się czytaniem.

— Prokurator zażądał 6 lat więzienia i 5 lat pozbawienia możliwości wykonywania zawodu. Jak by Pani przyjęła ten wyrok? Czy dopuszczała Pani w ogóle taką możliwość?

— Nie. Powiesiłabym się. To by mnie zalało. Zostałabym przeniesiona do kryminalistek, co byłoby straszne. Zobaczyłam je ostatniej nocy przed wyjściem na wolność.

— O ostatniej nocy pisze Pani bardzo skrótowo.

— Tak, to była dziwna sprawa. Już miałam wychodzić, gdy wezwał mnie wychowawca: „Jest pomyłka w dacie aresztowania, trzeba zostać do jutra i wyjaśnić”. Cóż znaczy jedna noc, gdy się jest już wolnym. Nie wróciłam jednak do swojej celi, a do tzw. przejściówki. Były tam kryminalistki, recydywistki, rozwżone potem do więzień stacjonarnych. W ołbrzymiej sali upchano chyba z 70 więźniarek; brudno, one też brudne, w więziennych rzeczach (ja w swoich własnych). W nocy przywieziono jeszcze 40 i rozłożono na podłodze. Wrzask, bijatyki, kradzieże. Ja ze swoim tobołem weszłam niczym milionerka. Ale niektóre znały mnie z sądowej poczekalni, znalazły łóżko, podzieliły się jedzeniem. Zostałam przecież zwolniona i już nie przysługiwało mi jedzenie.

— Były biedne; Pani rzeczy (w tym pewnie kosmetyki, papierosy) stanowiły dla nich wielką pokusę. Jak się Pani obroniła?

— Powiedziałam im, że jestem zwolniona i wszystko, co mam, zostawiam im, gdy będę wychodzić. Pilnowały więc tych rzeczy jedna przed drugą i obywateli się bez awantur. Przez te wrzaski i bójki z każdego kąta przesiedziałam całą noc. To jest otchłań. Wyszłam następnego dnia, około czternastej, w słoneczny jesienny dzień.

— Mało pisze też Pani o samym procesie.

— Oskarżyciel (ten pijak) nie stawał się na rozprawę, trzeba go było doprowadzać milicjanie. Nie umiał nawet opisać portfela, który został zatrzymany jako dowód rzeczowy w aktach (znaleziony u kierowcy karetki). Ten „dowód” należał do ojca kierowcy. Krok po kroku wygrywałam każdą sprawę. Zostałam w pełni zrehabilitowana, sąd wypłacił mi też odszkodowanie: 500 000 złotych (poniżej moich 13-miesięcznych zarobków w Pogotowiu), ale przecież nie to jest najważniejsze.

— Na ile po tym okresie oskarżenia i izolacji jest Pani innym człowiekiem? Co się w Pani zmieniło?

— Stałam się bardzo podejrzliwa. Mniej wierzę ludziom. Teraz wydaje mi się, że każda sytuacja ma podwójny kontekst. Mój stosunek do świata poza tym się nie zmienił; nawet do pijaków, chociaż zdaje sobie sprawę, że każdy może mnie znów oskarżyć. Mimo to chciałam wrócić do Pogotowia, do tej samej jednostki. Przyjęto mnie bardzo serdecznie.

— Co zauważa się po wyjściu z murów?

— To, że świat jest kolorowy. Zobaczyłam też, że drzwi mogą być otwarte, że nikt za nimi nie stoi, nie podgląda. Tam żyło się bez żadnej prywatności. Prowadziłam notatki ze świadomością, że w każdej chwili mogą być odczytane. Cudowne uczucie: można coś napisać i nikt tego nie przeczyta. I jeszcze ujrzałam wielką przestrzeń wokół. Miałam poczucie za dużej przestrzeni. W tym czasie obejrzałam też film „Ucieczka z Alcatraz”. Alcatraz to teraz sanatorium.

— Kiedy będzie można przeczytać Pani książkę w całości?

— „Iskry” zapowiedziały jej wydanie w styczniu przyszłego roku. Jeszcze szukam tytułu.

— Dziękuję Pani za rozmowę.

zbliznienia

■ Za tydzień rozpoczynamy druk pamiętnika Barbary Makowskiej-Witkowskiej.

■ Jako pierwsi i jedyni w Polsce — poznacie dramatyczne losy niewinnie aresztowanej.

■ Tylko w „Kontaktach” ukaza się fragmenty książki, którą przygotowuje Państwowe Wydawnictwo „Iskry”.



Są tacy, którzy przysięgają, iż na własne oczy widzieli, jak z płonącego balonu wyskakiwali ludzie. Jeden na jedno drzewo, drugi na następne. Taki mieli fart!

— Najpierw dotarło do mnie, że spłonęli baloniarze — potwierdza nieprawdopodobną szybkość plotki przedstawiciel Okręgowej Komisji Wypadków Lotniczych, Andrzej Zalasinski z Krakowa. — Potem, że spalili się tylko balon. Odetchnąłem. Balon rzecz nabyta.

— Wystartowaliśmy o siódmej pięćdziesiąt spod kościoła w Małym Płocku. Mielśmy ćwiczyć starty i lądowania — dla Krzysztofa Wróblewskiego był to trzeci lot w życiu. Nim znaleźli się na wysokości Czarnocina, wykonali sześć, może osiem międzylądowań. Szło im tak dobrze, że instruktor — praktykant, Marek Matuszalański z Białegostoku, zdążył ich nawet pochwalić.

— Siadaliśmy między Lasem Jednaczewskim a Narwią, około trzydziestu metrów od wału. Gdy tylko dotknęliśmy ziemi, pojawił się gwałtowny płomień. Pomyślałem, żeby zakręcić kurek z przeciwległej butli, ale w tej samej chwili ściana ognia przesłoniła mi wszystko — opowiada najmniej poszkodowany Wróblewski. — Odwróciłem się i zacząłem gramolić się z kosza. Gdy tylko znalazłem się na ziemi, balon po-

piero następnego dnia. Wcześniej bolała wyłącznie myśl: nie ma balonu! — mówi Wróblewski.

Za pięć dni łomżyński balon miałby dwa miesiące. Kosztował garstkę zapaleńców dwa lata zabiegów i dwa miliony dwieście tysięcy złotych. Składała się na niego niemal cała Łomża. Trzy tygodnie wcześniej startowali w mistrzostwach Polski. W międzynarodowej obsadzie zajęli 11 miejsce. Taki sukces i zaraz taki krach. Dlaczego?

— W tej chwili absolutnie nie mogę przekazać żadnej informacji — odpowiada Andrzej Zalasinski, który do Łomży dotarł już następnego dnia. — O niektórych sprawach będą musieli wypowiedzieć się eksperci. Dopiero po szczegółowych badaniach i analizie będzie jasność, gdzie tkwił błąd.

Matuszalański to znany w środowisku pedant — dorzuca „czynnik ludzki”, prezes Klubu Balonowego w Łomży, Marian Pusz. — Znam go od lat; od dziesięciu jest baloniarzem. Przed lotem musiał mieć wyczyszczone buty, więc co tu mówić, że mógłby czegoś nie dopatrzeć lub nie sprawdzić.

PRZERWANY LOT



derwał się i błyskawicznie poszybował w górę.

W tym samym, na szczęście, momencie z kosza wyskoczyli Matuszalański i Marek Choromański. Stali teraz obok siebie i patrzyli, jak owoc tyłu ich staraj i wyrzecz palili się niczym pochodnią. Potem usłyszeli wybuch rozrywanych butli. Spojrzeli po sobie. Najgorzej wyglądał instruktor: jego twarz z sekundy na sekundę zmieniała się w bąbel. Poparzone miał również obie ręce. Marek Choromański odruchowo zasłonił się przedramieniem: uratował twarz, lecz ręka paliła przenikliwie. Ruszyli w stronę nasypu. Matuszalański czuł się coraz gorzej. Po przejściu kilkuset metrów natknęli się na rowerzystę. Poprosili, by zadzwonił po pogotowie. Nieznajomy, nie pytając o nic, pociął na pedały. Trzysta, czterysta metrów od miejsca niefortunnego lądowania zauważył ich kierowca czerwonego malucha. Natychmiast wjechał na wał i zawiadził ich do szpitala.

— Ból po oparzeniu poczułem do-

Po oględzinach szczątków balonu członkom klubu nasuwa się jedyna, najbardziej prawdopodobna, hipoteza: zawiódł zacisk przewodu na dyszy pilotika. Najmocniejszych argumentów potwierdzających tę wersję dostarczają oględziny porównawcze mocowań z pozostałych butli: w żadnym przypadku nawet siła wybuchu nie zdołała zerwać przewodów z końcówek, do których zostały przymocowane. Przeciwnie! Popękały metalowe końcówki, a mocowania nie puściły. Właśnie poza dyszą pilotika. Oczywiście wiążące będą jedynie ustalenia Komisji Wypadków Lotniczych. W tej chwili nie do podważenia jest jedynie fakt, że był to pierwszy tego typu wypadek w Polsce. Podobny zdarzył się w maju na zawodach w Wupertalu. Także na balonie węgierskiej firmy, identycznym jak łomżyński.

Najważniejsze jednak, że ocaleli ludzie. Balon to przecież rzecz nabyta. A Klub Balonowy w Łomży wcale nie myśli o opuszczeniu rąk.

WŁADYSŁAW TOCKI

Zanim wymyślono Karlino i zanim pojawił się Kowalski, przed zachłannością naftowych sejków miał nas bronić gaźnik Szotta. Dziś Karlino wspomina się już tylko jako ostatnią detonację propagandy sukcesu, o Kowalskim też jakby ciszej, za to Szott ciągle walczy o swój system pneumatycznego wytwarzania mieszanki paliwowo-powietrznej.

Nie w wyglądzie twórcy systemu PWM (tak, dla wygody, będziemy nazywać ten gaźnik) nie usprawiedliwia słowa „walka”: ani ufne, niebieskie oczy, ani uśmiech, szczerzy i serdeczny, ani nawet szpicbródka, którą nosi dłużej niż pomysły gaźnika. Spiewny, lwowski akcent i galicyjska ogłada (właśnie: całując rączki) każą w nim widzieć człowieka uprzejmego i łagodnego, trochę nawet nieśmiałego. A jednak Ryszard Szott z wielką determinacją bierze udział w walce, w której przestały już wystarczać argumenty słowne.

Gdy przed siedmiu laty rozmawiałem z nim po raz pierwszy w przeszklonej pracowni Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Białymstoku-Białej, niespokojnie rozglądał się wokół i ściszał głos do szeptu. Nie bardzo wówczas rozumiałem, o co chodzi. Był przecież u szczytu powodzenia, o jego wynalazku prasa pisała z zachwytem i nadzieją, interesował się nim osobiście I sekretarz KC. Na Sarnim Stoku, gdzie mieścił się Ośrodek, spory sztab specjalistów miał tylko jedno zadanie: jak najszybciej przygotować nowy system zasilania do produkcji seryjnej.

A jednak... W toku dość chaotycznych wyjaśnień zorientowałem się, że powodzenie mojego rozmówcy nie jest bynajmniej aż tak jednoznaczne. Znalazła się w ośrodku grupa inżynierów, którzy poculi się urażeni oszałamiającym sukcesem zwykłego technika spoza branży samochodowej. Oni, wyposażeni w dyplomy, od paru lat nie mogą sobie poradzić z korkiem wlewu paliwa czy odklejającą się podsufitką, a tu raptiem fajerwerk na miarę Daimlera i Benz? Jedni więc pukali się w czoło, inni kiwali głową z politowaniem: że też dyrektor Ośrodka dał się zwieść takiemu szarlatanowi. Nie przekonali ich nawet pierwsze wyniki badań przeprowadzonych w OBR-ze. A były one rewelacyjne. System PWM zapewniał obniżenie zużycia paliwa w granicach 20–30 procent, zmniejszenie zawartości substancji toksycznych w spalinach, a na dodatek — zwiększenie momentu obrotowego i maksymalnej mocy silnika!

Ryszard Szott mógł póki co pozwolić sobie na lekceważenie opinii sceptyków. Dopiero później, gdy opowiedział mi o swych perturbacjach w poprzednim miejscu pracy, domyśliłem się, skąd ten niepokój w jego oczach. Nauczony doświadczeniem, wolał teraz zachować ostrożność. Unikał wypowiedzi, które mogłyby przyczynić się do powstania „humanistycznego” portretu wynalazcy. Uciekał do nużących wywodów technicznych.

Nie znałem się na owych dyszach, siłownikach, zagazowywaczach, udawałem jednak, że wszystko rozumiem. I dostałem nagrodę za swą nieszczerłość. Po kilku godzinach rozmowy dowiedziałem się, że gaźnik to tylko niewielka część tego, co Szott zrobił, bo impulsem do podjęcia prac nad projektem była konieczność znalezienia odpowiedniego układu zasilania jego silnika z wirującym układem tłokowym, o którym prof. Czesław Kordziński z Politechniki Krakowskiej, jeden z najwybitniejszych w Polsce znawców silników spalinowych, wyrażał się w samych superlatywach.

— Ale po co do tego wracać, to już stare dzieje — wzbraniał się przed rozwijaniem tematu silnika. Dokumentację schował na dno szuflady, przyjaciele przekonali go, że polskiego przemysłu motoryzacyjnego

go nie stać na rewolucyjne zmiany konstrukcji i technologii. Dopiero pod wpływem dłuższych namów zgodził się opowiedzieć nieco więcej o dziejach swego pierwszego wynalazku, a ściślej — o wydarzeniach, które sprawiły, że przeżył swą pierwszą metamorfozę: z pewnego siebie wynalazcy stał się człowiekiem sprawiającym wrażenie zahukanego i nie bardzo orientującego się w „układach”.

Z silnikiem było tak: gdy już posypały się pozytywne opinie z uczelni technicznych i gdy wcale nie tak nierealna okazała się możliwość wypłaty honorarium za ten projekt, dyrektorzy Zakładów Automatykacji i Mechanizacji Przemysłu Metali Nieżelaznych „ZAM” w Kętach zażądali, by Szott dopisał ich jako współautorów wynalazku. Oczywiście, w świętym oburzeniu — odmówił.

— Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz już wiem, że jak chce się coś osiągnąć, trzeba sobie najpierw zdobyć skrawek gruntu, a później umiejętnie go rozszerzać.

Dyrektor, zaskoczony bezczelnością wynalazcy, zapowiedział, że jeśli Szott będzie grał cwaniaka, pożałuje tego przy pierwszej okazji. Po miesiącu niepokorny pracownik miał już w aktach pierwszą nagannę. Na pięć lat musiał się pożegnać z podwyżkami i premią, a także z marzeniami o silniku. Gdy złożył podanie o przeniesienie do pracowni konstrukcyjnej, z cichą nadzieją, że w tajemnicy przed dyrekcją będzie mógł doskonalić projekt silnika, przeniesiono go do działu technologicznego.

— Wytrzymałem to, aż w końcu udało mi się jednak przejść do pracowni konstrukcyjnej, bo nie mieli już tam kogo zatrudnić.

Zakaz prowadzenia prac związanych z projektem silnika pozostał jednak w mocy. Doszło do tego, że gdy ktoś chciał zrobić na złość dyrektorowi technicznemu, celowo rysował na desce jakiś element silnika. Po kilku latach spartańskiej dyscypliny Szott wreszcie się zdenerwował: za jego prototypy masztów antenowych nagrodę — z poręczenia dyrektora — wziął ktoś inny. Napisał więc do rady zakładowej podanie z prośbą o zbadanie tej sprawy. Rada w dwa tygodnie potwierdziła zarzuty pod adresem dyrekcji. Skutek był taki, że przewodniczący związków sam podpadł kierownictwu zakładu.

Szott zatem zwrócił się do Komitetu Zakładowego. Ale tu trafił na twardszy grunt — sekretarz nie zamierzał zrezygnować z dobrych układów z dyrekcją. Gdy wynalazca na kilku zebraniach przedwyborczych do KZ-u powiedział, co myśli o sekretarzu, i gdy uzyskał poparcie części załogi, naraził się na zarzut stworzenia „grupy nieformalnej”; w efekcie otrzymał nagannę partyjną.

Konflikt zataczał coraz szersze kręgi. Wojewódzka Rada Związków Zawodowych w Katowicach, powiadomiona o sprawie, kazała skierować ją na drogę sądową. Do „ZAM-u”, jedna po drugiej, zaczęły zjeżdżać komisje. Sprawa Szotta była jedną z wielu wymagających zbadania. Gdy komisje wyjechały z Kęt, w zakładzie nie było już trzech dyrektorów. Zostali usunięci z nagannami partyjnymi.

Pani Krystyna, żona wynalazcy, mówiła o tamtych czasach: — Kim ja dla niego nie byłam? Powiernikiem, lekarzem, doradcą technicznym. Praca nad silnikiem była dla niego prawdziwym wytchnieniem.

Po usunięciu dyrektorów wszyscy w zakładzie gratulowali Szottowi zwycięstwa. Ale on nie odwzajemniał uśmiechów winszującym. Nie o takie zwycięstwo mu chodziło. Palicho, myślał, sekretarzy i dyrektorów; co dalej z silnikiem? Przecież tutaj nie ma warunków do kontynuowania niezbędnych badań. I ta



atmosfera! Oficjalnie wszyscy gratulują zwycięstwa, ale poza plecami uśmiechają się: „To maniak, który chce zrobić silnik na wodę!”

W roku 1972 opatentował jednak swój wynalazek. Prywatny patent otrzymał numer 161 091. Dokumentacja trafiła, między innymi, do Ośrodka Badawczo-Rozwojowego w Bielsku. Tu zainteresował się projektem kierownik jednej z pracowni, inż. Wiesław Wiatrak. Umówił się z Szottem na spotkanie, a wkrótce zaproponował wynalazcy pracę u siebie. Ten zaniemógł z wrażenia: gdzie mógłby mieć lepsze warunki do uprawiania swej pasji? Szybko jednak nowa dyrekcja dowiedziała się, że jest człowiekiem „konfliktowym”, zamiast więc do placówki naukowo-badawczej — trafił do działu konstrukcji oprzyrządowania Fabryki Samochodów Małolitrażowych.



W nowym miejscu pracy szybko pokazał swą klasę. W ciągu tygodnia dawał sobie radę z tym, nad czym inni głowili się miesiącami. Tak przynajmniej twierdził współpracownik wynalazcy z tamtego okresu, inż. Jerzy Hojnacki. Szott zaskoczył go nie tylko wielką wyobraźnią techniczną, ale i wiedzą z dziedziny matematyki i termodynamiki wykraczającą poza to, czego można nauczyć się na studiach. Skomplikowane zadania rozwiązywał w pamięci.

Inaczej już rozumiał wiele spraw, bo gdy kierownik podzielił pieniądze za urządzenie do napełniania układu hamulcowego tak, że przypadło mu z puli zaledwie 24 proc., chociaż nad projektem pracował sam, nie protestował. Postawił tylko jeden warunek: chciał mieć gwarancję pomocy w doświadczeniach ze zgazowywaczami.

Kiedy — niezależnie od innych projektów — przekonstruował głowicę silnika, nareszcie na serio zainteresowała się nim dyrekcja. Jednocześnie Komitet Fabryczny PZPR uchylił karę partyjną, nałożoną nań w Kętach. W kwietniu 1976 r. pracował już w OBR-ze, a w maju, przyszła mu do głowy nagła myśl, by skonstruować nowy gaźnik. Natychmiast siadł do deski kreślarskiej. Zaczął od najprostszych części przyszłych rozpylaczy. Pod koniec roku rozpoczęły się prace badawcze. W lutym 1977 całe urządzenie, jeszcze bez sprężarki, zostało po raz pierwszy zainstalowane na silniku fiata 126p. Zastosowana mieszanka była tak uboga, że dotychczas uchodziła za niepalną. A tu wyniki przeszły wszelkie oczekiwania!

Pomny doświadczeń, Ryszard Szott pamiętał o konieczności zdo-

bicia przyczółków. „Niech czują się współautorami projektu. Niech wiedzą, że kiedyś dostaną za to niemalą forszę” — mówił. Zmadrzał wyraźnie po tych Kętach. Nie kwestionował zasad podziałów premii. „Nie widział” teleksu świadczącego o tym, że dyrekcja po cichu prowadzi pertraktacje w sprawie zakupu... gaźnika Pierburga. Nie pchał się, gdy w związku z pracami badawczymi nadarzyła się okazja atrakcyjnego wyjazdu zagranicznego. Zgodził się na absolutny monopol dyrekcji w kwestii informowania opinii społecznej o postępie prac badawczych.

— ★ —

Dotrzymałem danego Szottowi słowa. Schowałem do szuflady uzyskane informacje, tak jak on wcześniej schował projekt swego silnika. Ale upłynęło siedem lat i — nie wytrzymał. Powiedział: — Teraz nie mam już nic przeciw temu, by pan to wszystko opisał.

Po telefonie od niego wiedziałem, że przeszedł kolejną metamorfozę. Wrócił do punktu wyjścia. Znowu stał się człowiekiem mówiącym kierownikom i dyrektorem w oczy, co o nich myśli. — Niech mnie zwolnią, będę miał przynajmniej święty spokój! — mówił w uniesieniu.

Więc sprawa systemu PWM jest wciąż aktualna? Oczywiście, jest aktualna, chociaż... Rozżalony wynalazca twierdził, że samochody z oszczędnymi gaźnikami już dawno mogłyby jeździć po polskich drogach, gdyby nie musiał zużywać połowy energii na walkę z przeciwnikami tego rozwiązania.

Grudzień 1985 r. Dyrektor Ośrodka Badawczo-Rozwojowego, Roman Podolak, dziwi się: — Szott ma jakieś kłopoty? — Kierownik zakładu silników, dr Antoni Świątek, również nic nie wie o jakichkolwiek trudnościach wynalazcy. To prawda, że w roku 1983 badania systemu PWM zostały przerwane decyzją rady techniczno-ekonomicznej FSM-u. Uznano, że urządzenie (nie w pełni zresztą dopracowane konstrukcyjnie) amortyzowałoby się po 3-4 latach, co indywidualnemu użytkownikowi „malucha” nie bardzo by się opłacało. No i trzeba było wziąć pod uwagę ogromny koszt uruchomienia seryjnej produkcji.

— W takim razie — pytam — dlaczego powrócono do badań po dwuletniej przerwie?

— Ano, dlatego, że tymczasem bardziej aktualna niż oszczędność paliwa stała się sprawa toksyczności spalin. System PWM rokuje szanse znacznego polepszenia czystości spalin, bez konieczności montowania kosztownych, dostępnych tylko za dewizy, katalizatorów.

Dyrektorowi, który jest szefem Ośrodka od pół roku, nie daje jednak spokoju moje pytanie o to, dlaczego mimo wszystko Szott nadal narzeka na kłopoty.

— Wynalazcy to ludzie wrażliwi, wszystko wyolbrzymiają. Ja natomiast jestem zdania, że nie możemy dopuścić do zwycięstwa techniki nad zdrowym rozsądkiem.

Jakoś nie mogę uwierzyć, że ludzie ci nie wiedzą o prowadzonych przez Szotta pracach badawczych w okresie, gdy oficjalnie były one „umorzzone”, o obniżeniu mu premii, pomijaniu przy podziałach nagród, wyjazdach na zagraniczne i krajowe(!) seminaria, czyli o prawie do kładnym powtórzeniu się historii z Kęt. Przyjmuję jednak za dobrą monetę ich zapewnienia, że dokończą badania, by w ciągu roku zakończyć badania gaźnika Szotta, prowadzone już nie za pieniądze FSM-u, lecz Ministerstwa Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego.

Po roku jednak moje złudzenia pryskają. Badania nie zostały zakończone, a na polu walki pojawiła się pierwsza ofiara. Dyrektor OBR-u rozwiązał w styczniu 1987 umowę o

pracę z inż. Ryszardem Machnowskim, rzecznikiem patentowym FSM-u, współautorem i gorącym orędownikiem systemu PWM. Machnowski naraził się dyrekcji częstymi monitami w sprawie złej organizacji i opieszałego tempa badań gaźnika Szotta. Zdaniem kierownictwa Ośrodka, było to wtykanie nosa w nie swoje sprawy.

A Szott? Tradycyjnie — zbiera nagany. Ostatnią otrzymał za to, że nie zgłosił niewielkiej kolizji drogowej, jaka przydarzyła mu się w czasie jazdy próbnej.

— Nie miałem takiego obowiązku, bo samochód został przekazany formalnie Instytutowi Techniczno-Samochodowemu Politechniki Łódzkiej — tłumaczy. Do nagan zdążył się już przyzwyczaić. Pragnie tylko zilustrować stosunek kierownictwa Ośrodka do autora wynalazku, który kiedyś miał zrewolucjonizować nie tylko polską motoryzację.

— Sam pan widzi, jak traktuje się w Ośrodku twórców systemu PWM — mówi inż. Wiesław Wiatrak, szef zespołu, który skonstruował prototyp „Beski-da”. — Zawsze dostawali oni po łapach.

Okazało się, że nowa taktyka, o której mówił Szott przed siedmiu laty, nie na wiele się zdała. Na przyjaciół i tak zawsze mógł liczyć, wrogów nie przekonał. „To szarlatan, nawiedzony szaleniec, jak większość wynalazców” — mówią jedni. „To człowiek z wielką pasją, geniusz, który chociaż jest tylko technikiem, mógłby zapędzić w kóz róg niejednego profesora” — twierdzą drudzy. A pomiędzy tymi skrajnymi opiniami jest wiele miejsca dla polskiego piekła: bezinteresownej zawiści, urażonych ambicji, walki o pieniądze.

Jeden z przyjaciół wynalazcy twierdzi, że decyzja o odłożeniu gaźnika Szotta na półkę, podjęta w roku 1983, była uwiecznieniem zacieklej kampanii przeciwko systemowi PWM, prowadzonej przez ludzi, którzy byli zainteresowani w forsowaniu własnych, konwencjonalnych rozwiązań, takich jak wersja „650E”. Byli bliżej dyrekcji, więc wygrali konkurencję. I wygrywają w dalszym ciągu, czego dowodem los rzecznika patentowego FSM-u.

Inż. Machnowski żałuje tylko jednego: że po jego odejściu nikt nie będzie troszczył się o zagraniczne patenty na system PWM. Zrezygnował już z walki, chce jeszcze tylko udowodnić, że dyrektor nie miał prawa wyrzucić go za złą opinię o organizacji pracy w Ośrodku.

Ale Szott walczy nadal. Gaźnik jest dla niego wszystkim. Twierdzi, że nie chodzi mu tylko o lata bez psychicznego luzu, o wieczory i noce spędzone na obmyślaniu kolejnych detali, rysowaniu, obliczaniu. Zależy mu na zwykłej satysfakcji wynalazcy oraz na udowodnieniu, że można wygrać nawet z „mocnymi”, jeśli naprawdę ma się rację.

A w przekonaniu, że ma rację, utwierdzają go nie tylko przyjaciele z OBR-u, ale też tacy wybitni znawcy techniki motoryzacyjnej, jak prof. Jan Wajand i doc. Tadeusz Wojciechowski z Politechniki Łódzkiej czy prof. Kordziński.

— Panie Ryszardzie — pytam jeszcze — czy podjąłby się pan od nowa opracowywania gaźnika, gdyby wiedział pan, z jakim koszmarem to się będzie wiązać?

— Nigdy w życiu! — odpowiada natychmiast. — Kamienie tłuc, krowy paść, mleko roznosić; wszystko, ale nie to!

Czuję jednak, że tym razem pan Ryszard nie wierzy w to, co mówi. Nie mogę wyobrazić go sobie bez gaźnika, odbijającego kartę zegarową o piętnastej i myślącego już tylko o kapciach, wygodnym fotelu i wieczornym filmie w telewizji.

ANDRZEJ OTCZYK
Fot. BOGDAN ZIARKO

spiećcia



9

KONTAKTY
1987-07-26

„W 43 rocznicę PRL rozpoczęto wreszcie w Łomży prace przy tworzeniu Parku 40-lecia. Roboty ża-inaugurowano usunięciem krzewu dzikiej róży (średnica ok. 2 metrów), który jako jedyny ostał się z poprzednich prób zażrzewiania tego terenu. Krzew właśnie — z żalem pisze Obywatel — zaczynał kwitnąć.” Nie czas żałować róż, Obywatelu, gdy palą się kolejne terminy ostateczne!

— ★ —

Państwowy Główny Inspektor Sanitarny kraju — w czasie pobytu w Łomży — postawił przed społeczeństwem historyczne zadanie: „Jeżeli na terenie województwa łomżyńskiego rozwiąże się problem ubikacji, będzie to wielkie osiągnięcie”. Także dialektyczne: nasi dziadowie budowali zaledwie „stawojki”, my będziemy — „bończakówki”.

— ★ —

W Wiźnie (i nie tylko) wszyscy, którzy porwali się na budowanie czegośkolwiek, najwięcej kłopotów mają ze zdobyciem materiału pokrywciowego. By nie dochodziło do nieprawidłowości, wprowadzona została zasada, że gminne spółdzielnie mogą sprzedać papę lub eternit wyłącznie tym, którzy otrzymali pisemny przydział urzędu gminy. W Wiźnie przydział taki naczelnik wypisał na osobę, która eternit dawno już wykupiła. Wręczono go przewodniczącemu GRN-u; przewodniczący w pocie czoła załadował płyty na przyczepę i... zawiózł szwagierce w Pniewie. Ręka rekę kryje?

— ★ —

Czytelnik z Kolna dzieli się z nami takimi oto obserwacjami, poczynionymi na miejscowym dworcu PKS-u: o godzinie 8.00 odjeżdża dość dużo autobusów w różnych kierunkach, lecz godzina ta nie jest czasem odjazdu, ale czasem przerwania pogawędek kierowców i wyjścia do swoich pojazdów. Wtedy zaczyna się tłok, jeden drugiemu zastawia drogę, rozlega się trąbienie i w efekcie odjazdy następują często z niemałym opóźnieniem, na siłę nadganianych na trasie. Jako optymiści cieszymy się, że są rezerwy, by każdy kurs był pospieszny.

— ★ —

W Kolnie od dwunastu lat zalewane są piwnice bloku nr 14 przy ulicy Sportowej. W Łomży domy przy ulicy Kółkują 9 i 11 od dwóch lat nie mają śmietnika. Odpadki wyrzuca się więc gdzie się da. I proszę, niektórzy kpili sobie, że atestację zaczyna się od sprzątań. Choć może rzeczywiście należało zacząć od miotły ds. kadr?

— ★ —

Klient, który w sklepie WSOP-u przy ul. Wojska Polskiego nr 25 w Łomży nabył ziemniaki nie nadające się do jedzenia, na próbę reklamacji dowiedział się, że nie należy kupować kota w worku. Gdy się nie ma świeżego towaru, można by przynajmniej zaopatrzyć się w odrobine świeżego humoru. Dla przykładu (co nie zwalnia z rzetelnego załatwiania reklamacji) przypominamy przedwojenną anegdotkę: — Jaki materiał pan mi sprzedał? To najgorsza tandeta! — Co tu gadać — uspakaja kupiec. — Szczęściarz z pana. Pan ma tylko trzy metry tandety, a ja pełen magazyn.

— ★ —

Nagrodę w wysokości 500 zł za najlepszy sygnał tygodnia otrzymuje autor informacji o przyszłych przewagach Łomżyńskiego w eleganckim załatwianiu potrzeb, zwanych fizjologicznymi.



Prawie każda niedziela była taka sama: kiedy znikali za zakrętem ostatnie dęmy, zjawiał się przed nimi drewniany most. Wbiegali ze śmiechem na miękkie łąki, a potem zapadali w kalinowski las. Ojciec zrywał ich takiego ranka ulubionym powiedzeniem: „Wstawajcie! Do drzew, do ptaków!” Przez cały tydzień robił kafele (ukończył rosyjską szkołę ceramiczną), lecz zawsze znalazł czas na wyprawienie swojej jedenastoosobowej gromadki za miasto, rozbudzanie w niej zamiłowania do nauki i książek, a szczególnie — do przyrody.

Takim zapamiętała ojca Stanisława Karpińskiego i jemu zawdzięcza późniejszy wybór zawodowej drogi. Matka, kobieta niezwykle doborczy i pracowitości, poświęcała się licznej rodzinie bez reszty. Plakała wraz z dziećmi, gdy na łomżyńskich wzgórzach stały rosyjskie armaty, potem — niemieckie baterie, i stawiała na stół zupełnie niepotrzebne talerze, a na środku kładła chleb pieczony z kasztanami. Jego ohydny smak pozostał w pamięci pani Stanisławy jako symbol dzieciństwa.

Urodziła się w Ostrowi Mazowieckiej. W roku 1911 Karpiński przeniósł się do Łomży. Najpierw zamieszkali przy Szosie Obwodowej (dzisiaj ul. Sikorskiego), potem — na Senatorskiej. Tam przeżyli I wojnę światową — piekło strachu, a przy tym nadzieję na wolną Polskę po latach niewoli i pogardy. Po zakończeniu działań wojennych pani Stanisława poszła do szkoły przy ul. Zielonej (dziś siedziba Piekarni nr 1), prowadzonej przez Macierz Szkolną, którą kierował Józef Milewski, wspaniały człowiek i pedagog. W ogóle pani Stanisława wyznaje, że miała szczęście do nauczycieli szlachetnych i oddanych dzieciom. Tak było także w Szkole Powszechnej im. Królowej Jadwigi (budynek dzisiejszej „Szóstki”), gdzie wstąpiła do harcerstwa. Jeden z punktów prawa harcerskiego był dla niej święty: „Harcerz kocha przyrodę i chroni ją”. Ile było wycieczek, biwaków, „wielkich” wypraw, połączonych z sadzeniem młodych drzewek! Po ukończeniu szkoły powszechnej pani Stanisława stanęła przed trudną decyzją: co dalej?

— Właściwie postanowiłam już dawno, ale bałam się, czy potrafię być taka, jak moi wychowawcy. Wiedziałam, że na autorytet zawodowy i moralny muszę ciężko zapracować.

I tak w 1925 r. Stanisława Karpińska została słuchaczką żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego im. Narcyzy Zmichowskiej, którego siedziba znajdowała się przy Zjeździe. To była solidna szkoła życia i wychowania. Wspaniale pracował samorząd, funkcjonowały kółka zainteresowań, harcerstwo. Wychowawczyni, Jadwiga Jabłowska, była dla swoich uczennic jak matka: interesowała się sytuacją rodzinną dziewcząt, umiała im tak pomóc, żeby tego nie odebrały jak jałmużnę. Zorganizowała sklepik uczniowski, urządzała wycieczki do Krakowa i Zakopanego, niejednokrotnie ratowała uczennice pieniędzmi z własnej kieszeni. Pani Strzemecka natomiast rozbudziła w dziewczętach zamiłowanie do pedagogiki.

— Zawsze powtarzała nam: „Pamiętajcie, żeby przez całe życie być człowiekiem”. Wzorem pedagoga była też dla mnie dyrektorka, Maria Czubańska.

Podczas nauki na III i IV kursie (tak się wtedy w Seminarium nazywało klasy) dziewczęta udzielały bezpłatnych lekcji czytania i pisania łomżyńskim robotnikom w ramach walki z analfabetyzmem, była więc okazja sprawdzenia swoich umiejętności zawodowych w pracy z dorosłymi, natomiast w szkole ćwiczeń przy ul. Krótkiej sposobiły się do zajęć z dziećmi.

Ukończenie Seminarium w roku 1931 przysporzyło pani Stanisławie radości i zmartwień zarazem. Coraz trudniej było o pracę. Choć pani Stanisława zdała świetnie maturę, nie otrzymała stałej posady. Zatrudniła się na tzw. kontraktach w Wierciszewie, Szczepankowie, Rutkach, Wagach, Nikosławie, Małym Płocku. Jakież to były zastępstwa, skoro np. w Nikosławie sama uczyła 118-osobową gromadkę! Wreszcie los się odmienił: otrzymała etat w Kapicach koło Osowca, 12 kilometrów od Grójca, które trzeba było pokonywać chłopską furmanką.

— Ale były to chyba najpiękniejsze lata mojego życia. Zawsze marzyłam o nauczaniu w wiejskiej szkole. Praca w Kapicach dała mi mnóstwo satysfakcji. Zaczęłam razem z dziećmi od czyszczenia ławek, wielkiego sprzątania całej chaty. Z dziewczynkami wyszywałyśmy kołnierzyki. Wprowadziłam fartuszek szkolny, zachęcałam do zakładania

przydomowych ogródków i organizowałam sadzenie drzew przy drogach. Założyłam szkolne kółko przyjaźni przyrody. Nowością okazały się szkolne uroczystości. Zapracowane i zaniedbane dzieci bardzo się cieszyły pierwszą choinką, a matki, z okazji ich święta, ze spotkań w szkole, na które upiekłam z dziewczynkami ciasto i przygotowałam kakao; większość piła je po raz pierwszy w życiu.

Najbardziej bolała nad przesądzonym losem niektórych uczniów. Nawet te wybitnie zdolne po ukończeniu szkoły musiały wrócić do pracy w gospodarstwie. W 1937 rozstała się z Kapicami, zostawiając dzieciom zamiłowanie do przyrody, szacunek dla ludzkiej pracy i godności. Plakali wszyscy: i nauczycielka, i dzieci, i rodzice.

Mały Płock kojarzy się pani Stanisławie nie tylko z zadrzewianiem okolicy, lecz i stryjem Adolfa Ciborowskiego, zamiłowanym przyrodnikiem, autorem książek o hodowli pszczoł i jedwabników. Wraz z płockimi dziećmi wysadził drogę drzewami morwowymi i hodowla udała się znakomicie.

W latach 1937—39 została nauczycielką w Szkole Powszechnej w Ząbieniu koło Kolna, gdzie uczestniczyła w zbiorce pieniędzy na nowy budynek. Zebrali fundusze, zgromadzili materiały, lecz wojna zaprzepaściła zamiary. Przez dwa lata pani Stanisława uczyła w Sławcu pod Nowogrodem, gdzie za Narwią stali Niemcy. W 1941 zmieniła się linia frontu i łomżyńskie szkoły zostały zamknięte (oprócz jedynej, na Ryba-

kach, dla dzieci Niemców i Volksdeutsche), a nauczyciele — wpisani na czarną listę.

Dla pani Stanisławy nastał czas tajnego nauczania: — Chłopcy przynieśli dyktę, która służyła nam za tablicę. Gdy Niemcy niszczyli biblioteki i księgarnie, a potem palili na Pulwach polskie książki, chłopcy jakimś cudem podkradali co się dało. Dzieci same zdobywały podręczniki i zeszyty; skoro one się nie bały, jak mogłam bać się ja?

Uczyła wszystkiego; ostrożności także. Mieli umówiony znak i przygotowaną odpowiedź na zaczepki zandarmów lub Volksdeutsche. W 1943 trafił się pani Stanisławie sąsiad niezwykle „ciekaw”, który zademonstrował jedną wieś za współpracę z partyzantami. Miejscowość spacyfikowano, a on w nagrodę otrzymał w Łomży piękne mieszkanie. Tu począł rozpytywać dzieci, w jakim celu przychodzą do jego sąsiadki. Porozumiała się z rodzicami, że odtąd będzie odwiedzać uczniów w domach.

W lipcu 1943 r. dowiedziała się od Franciszki Waszniczki, że na 14 i 15 lipca Niemcy zaplanowali rozstrzelanie polskich nauczycieli i pensjonariuszy domu starców w Jeziorcu.

— Miałam tę informację zanieść innemu nauczycielowi, ale nie zdążyłam dotrzeć do wszystkich. Wśród ofiar była moja uczennica, Jasia Figurska. Po kilku dniach wróciliśmy do lekcji, ale zaczęłam od pytania: czy możemy tak dalej ryzykować? Dziewczynki zaczęły śpiewać „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”, a potem powiedziały: „My będziemy do pani przychodzić, za Jasie”.

Wreszcie nadszedł dzień zwycięstwa. Pani Stanisława mogła bez lęku przekroczyć progi polskiej szkoły, w której wszystko trzeba było zaczynać od początku. W Szkole Podstawowej nr 6 zaangażowała się w pracę społeczną w PCK. Z lekami, odzieżą i pomocami szkolnymi należało dotrzeć wszędzie, choć bandy grasowały na każdej drodze. Szerzyła też oświatę zdrowotną; trzeba było nauczyć matki, jak walczyć z wszami, świerzmem. Sama musiała zająć się tymi dziećmi, o które nikt nie dbał.

Czasy się zmieniały. Niebawem rozpoczęła naukę w ramach wyższego kursu pedagogicznego na kierunku biologicznym. Zmieniały się miejsca pracy, ale nigdy — zapal do społecznikostwa. „Jedynce” przybyły wokół szkoły dęby, ogródek, kółka LOP-u i PCK. W wyniku wspólnej akcji z Marianem Jaśkowcem pierwszy dąb został posadzony na 15-lecie PRL. Przez pewien czas pracowała w PSS „Społem”, była dyrektorem ośrodka metodycznego na powiat łomżyński, a potem nauczycielką w „Czwórcu”. Tadeusz Dudo i Jerzy Olbrys wspierali ją w nowych pomysłach. Powstała piękna pracownia biologiczna, wokół szkoły przybyło drzew i kwiatów, a dzieci na Dzień Matki wręczały mamom samodzielnie wyhodowane rośliny w doniczkach. Zimą dokarmiały zwierzęta. Wyprawy do lasu stały się tradycją.

— To nasz skarb, o który musimy dbać — mówiłam. — Czy może być gdzieś piękniejszy krajobraz niż polski?

Od 16 lat pani Stanisława Karpińska mieszka w osiedlowym bloku. W okno zaglądają jej drzewa. Te same, o które stoczyła ciężkie boje nie tylko z dziećmi, ale i rodzicami, bowiem, wg nich, nieważne, że pociechy łamią gałęzie, lecz że mogą połamać sobie przy tym nogi.

— Gdzieś na świecie jest piękny zwyczaj: gdy rodzi się dziecko, rodzice sadzą drzewko, aby rosło razem z nim. Czy u nas byłoby to możliwe? — zastanawia się pani Stanisława.

Za swoją pracę pedagogiczną i społeczną otrzymała wiele odznaczeń państwowych (m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski), regionalnych, resortowych, ale najwyższemu ceni szacunek, jakim darzą ją dzisiaj jej uczniowie; całkiem młodzi i starsi.

— Co zostanie po człowieku? — pyta sama siebie. — Chyba tyle, ile dał z siebie innym.

GABRIELA SZCZESNA

WARTOŚCI MOJEGO ŻYCIA

KRAJOBRAZY LOSU



parówki hezosłonkowe czyli suwmiarka miłości

HENRYK GAŁA

O miesiąc przedłużono konsultacje na temat nowego kodeksu pracy. Jeśli dobrze czytam i słucham, idzie głównie o spór związków zawodowych z rządem o dwie rzeczy — o tak zwaną osłonę socjalną pracujących (warunki ergonomiczne i zdrowotne pracy, sanatoria, wczasy, inne świadczenia pozapłacowe) oraz sprawę o wiele ważniejszą, fundamentalną, czyli prawo do pracy.

„Pracy i chleba” — to najczęstszy tekst umieszczany na transparentach manifestantów w II Rzeczypospolitej. Choć nie tylko, bo jeszcze sześć lat temu pojawiał się także, ale ginął wśród zalewu innych, których przypominać nie ma potrzeby. Praca, główny motor napędowy dziejów nowożytności, surowiec do wytwarzania najpotężniejszej wartości, którą Marks nazwał dodatkową, sama stała się wartością w socjalizmie. I co się stało? Zupełnie odwrotnie niż w „Szwcach” Witkacego, gdzie pozbawienie pracy, odizolowanie od niej zdobytych tytułów bohaterów cierpiętników kłopoty do kopyta, pocięła i młotką. Nastąpiło natomiast to, co ilustruje pewna sensacja sprzed czterdziestu dwóch lat, jaka miała miejsce w mojej rodzinnej wsi w Wielkopolsce. Otóż, kiedy Niemcy uciekali, a goniący ich Rosjanie nie zatrzymali się, do opuszczonego pałacu Stableskich weszło (niekoniecznie przez główne drzwi) kilku

mężczyzn z czworaków. Jeden z włodarzy, stanowisko służbowe odpowiadające teoretycznemu współczesnemu brygadziście, pan K., poszedł za nimi, aby nakłonić ich do opuszczenia nie swojego domu. Po dłuższych, nazwijmy to, rozmowach, usłuchali go prawie wszyscy. Został jeden, oświadczając panu K., że teraz przyszedł czas, kiedy dziedzice będą pracowali, a on będzie leżał w łóżku. Powiedziawszy to, oczywiście w gwarze wielkopolskiej, która należy do najmniej wdzięcznych, ułożył się w pańskiej sypialni. Pan K. zgodził się z nim, ale dodał: „Tak będzie, jak oni wrócą, ale na razie, Leosiu, idź wyrzucać gnój z obór. I to zaraz — rzucił odchodząc — bo do tej roboty jest was tylko trzech. Tamci zostawiają twoją część, a jak skończą, to zabiorą wóły (była to wówczas najefektywniejsza siła pociągowa) na drugie podwórze i będziesz musiał sam wyciągać gnój z obór. Robota musi być zrobiona.”

Podobno poskutkowało, ale sensacyjność tkwiła nie w poczuciu musu wykonania roboty, lecz w tym, że po pierwsze: czworaczni weszli do pałacu jak do swojego (naruszyli

tabu) oraz że włodarz K. postawił się temu, co chciał zostać w pałacu — to po drugie, bo on już, mimo że wyzwoliciele ledwie zatrzymali się we wsi, zdążył wstąpić do ORMO (tutaj tabu naruszył pan K. lekceważąc prawo zachowania głowy).

Czy z tej wspominki wynika cokolwiek dla dzisiejszych dyskusji o pracy? Chyba tak, mianowicie to, że najważniejsze jest mieć dobrych włodarzy. Wtedy nie trzeba będzie kruszyć kopii o to, czy za porzucenie pracy należy ściągać z uciekiniera kwartalne czy półroczne pobory, ani prostować prawny paragraf w pałę do gromienia społeczeństwa za pasożytniczy tryb życia.

Tyle o suwmiarce miłości... do pracy. Teraz o parówkach. Osłona socjalna. Proszę pokazać mi, kto rzucił kamieniem w tych, co tę osłonę gwarantują, a ja nie rzucę w nich chlebem. Tylko jak wygląda to choćby w dziedzinie plac. Pytanie jest proste: co uzasadnia fakt wyższej pensji sekretarki dyrektora wydziału w urzędzie wojewódzkim od załadowki (praca na trzy, a nawet dwie zmiany, to harówka) tkaczki czy robotnicy w zakładach chemicz-

nych, to wiem — po prostu sekretarka ma wyższe usytuowanie zawodowe, ale która z nich ma większe prawa i możliwości do korzystania z osłony socjalnej — na to potrafię odpowiedzieć.

Gredalski po czerwcowych wojach turystyczno-religijnych wypoczął na tyle, żeby spotkać się z Piaścińskim. Jak zwykle, przy piwku. Było akurat łomżyńskie „Kameralne”, ciemne, mocne. Tyle, że nie w sklepach, bo mogą sprzedawać je tylko monopolowe (zawartość alkoholu powyżej 4,5 proc.), a tym się to nie opłaca, ale w browarze było. Piaściński załatwił. Napisał podanie, przemarszerował kilka kilometrów po PPS-ie i już mogli z Gredalskim wypić. Trzydzieści butelek. Tyle bowiem zawiera transporter, czyli najmniejsza jednostka sprzedażna. Na szczęście były to małe butelki. I tak wysnuli moi mili znajomi przy tym piwku całkiem oryginalną teorię. Wewnętrznej emigracji. Wychodząc od socjalnej osłonki.

Otóż najlepszym sposobem przezwyciężenia tej moralno-politycznej zarazy jest posiadanie dolarów. Tak, wtedy na przykład nie grozi wyobcowanie ze środowiska spowodowane nieprzyjęciem dziecka do przedszkola. Przykład 1: w pewnej instytucji pracują dwie kobiety, cztero- i dwudzielnia. Której dziecko przyjęto do przedszkola? Dwudzielnia. Bo mąż w Stanach. Przykład 2: małżeństwo z dwójkiem dzieci. On ponad pół roku choruje otrzymując zapomogę w wysokości połowy średniej płacy, ona — jedynie zasiłek na dzieci. Dlaczego nie przyjęto jej dzieci do przedszkola, aby mogła podjąć pracę? Bo „przyjmowano sprawiedliwie” (słowa kierowniczki przedszkola, w tym także dzieci niepracujących (zajętych, godnym pochwały zresztą, budowaniem własnego domu), którzy powrócili z wody, ale dla dzieci „prywatniarzy” nie znalazły się miejsca. Bo jego nieszczęście prywatne? Czy to sprawiedliwość?

No i co z osłonką? Na parówkach była świetna (choć na kredyt), ale ta socjalna jakby trochę perforowana i, w naszej okolicy, zzieleniała nieco. Czy dziwne, że Gredalski i Piaściński mają kaca? Ależ skąd. Tyle piwa na dwóch!

Rys. Marka Polańskiego



refleksje



Tyle prawo, natomiast opinia publiczna wydała swój własny wyrok na Stefanię Harper, która w dwa tygodnie po zakończeniu procesu wyszła za mąż za Dana Marshalla. Jednoznacznie potępiono jej postępowanie, a zwłaszcza to, że kiedy już wiedziała, kim jest, nie zaprzęgnęła choćby tylko zobaczyć swoich dzieci. Natomiast Patrick Wells został kimś w rodzaju bohatera narodowego i mało brakuje, a układano by o nim piosenki.

I jeszcze dwie sprawy. W trakcie remontu zniszczonego Edenu, robotnicy znaleźli zamurowaną w ścianie skrzynkę, w której znajdowały się jakieś papiery. Z lektury tych dokumentów wynikało, że Jill jest nieślubną córką Stefani Harper, została bowiem spłodzona przez jej dziadka, który zrobił to mając lat bez mała osiemdziesiąt. Sensacyjna ta wiadomość zapłodniła z kolei kilku scenarzyistów filmowych, dzięki czemu w dwa lata później nakręcono serial telewizyjny składający się z dwóch części, jednakże o treści silnie zbeletryzowanej i dalece odbiegającej od prawdy o wydarzeniach, w końcu przecież autetycznych.

KONIEC

Pierwsze słowa tej homilii nie dotarli w pełni do świadomości silnie podpitego już Grega i nieźle podkurowanej alkoholem Jill. Ten głos, którego źródło nie można było ustalić, pierwiastek, który miał się być głosem sumienia, dopiero później przyszła refleksja, że jednak pochodzi z zewnątrz, z jakiegoś bliżej nieokreślonego punktu przestrzeni. Coś takiego z całą pewnością może wprowadzić w osłupienie najzagorzalszego materialistę, natomiast każdy człowiek słaby i chwiejny bez wątpienia wpadnie w panikę.

— Jill Steward i Gregu Marsdenie! — pewna siebie Clark kontynuowała przemowę, nie zdając sobie sprawy ze stanu, w jaki zdołała wprowadzić tych dwoje nieszczęśników. — Jest tu ze mną Frederick Steward, który dziś rano opuścił ziemię, albowiem doszedł do wniosku, że lepsza śmierć od życia z wami. Dzisiaj nie chce jeszcze z wami rozmawiać, ale i on w przyszłości będzie was nawiedzał byście zapomnieli nigdy nie mogli o zbrodniach swoich, na wieki wieków, amen!

Stefania знаła tajemnicę kanałów wentylacyjnych. Będąc jeszcze dzieckiem, parę razy dostała od ojca po pupie za próby straszenia gości licznie odwiedzających Eden w tamtych czasach. Po wysłuchaniu kilku pierwszych zdań wypowiedzianych przez pannę Clark, przypomniała sobie stare dzieje, nie wiedziała tylko, kto występuje teraz w jej imieniu. Z początku uśmiechnęła się nawet, później jednak pomyślała, że ten głos, który z pewnością nie należał do kucharki Fanny, stanowczo wie zbyt wiele o niej i o jej sprawach. Przypomniała sobie dziewczynę, która zjawiała się w Edenie wieczorami i zrozumiała, że nie był to przypadek.

— „O Boże! — pomyślała spłoszona. — Z pewnością ktoś ją tutaj przysłał, a jeśli tak, to byłam naiwna sądząc, że oprócz mnie nikt nie wie, kim naprawdę jestem.”

Głos umilkł, a Stefania nadal nie mogła jeszcze zebrać myśli. Nie wiedziała, co ma teraz zrobić, jeśli bowiem ktoś znał jej tajemnicę, prędzej czy później dowiedzą się o niej wszyscy. No, chyba że był to jakiś szantażysta, któremu będzie płacić za milczenie. A może to jednak doktor Marshall, albo stary Wells? Jak dobrze byłoby mieć ich teraz przy sobie!

Myśli o bliskich i drogich jej ludziach, o których zapominała w ostatnim czasie, podziałała na Stefanię jak kojący balsam. Uspokojona położyła się do łóżka z mocnym postanowieniem, że zaraz po powrocie do Sydney natychmiast zadzwoni do Dana.

I wtedy usłyszała najpierw trzy strzały z broni palnej, później narastający szybko warkot silnika samolotu, a jeszcze później starym domem targnął potężny wstrząs. Przerażona i zdezorientowana dostrzegła walące się na nią, połamane jak zapalki grube belki powały, po czym nie czując nawet bólu zapadła w nicość.



Przed kilkoma miesiącami pisałem o Denie Herrowie — młodym, zdolnym włoskim piosenkarzu, zdobywającym serca wielu fanów w Europie Zachodniej. Dziś fragmenty rozmowy z Denem, opublikowanej w jednym z zachodnich magazynów muzycznych.



— Jesteś nazywany supergwiazdą muzyki pop. Czy nie przeszkadza ci ta opinia w pracy i w życiu prywatnym?

— Sukces pozwala mi układać życie według moich wyobrażeń i marzeń. To, co do tej pory osiągnąłem, nie jest aż tak wielkie. Owszem, nagrałem kilka przebojowych piosenek, wystąpiłem na kilku koncertach, ale nie można tego przeceniać. Pracuję ciągle bardzo ciężko, aby dorównać światowej czołówce. Jeśli znajdę się w tym kręgu muzyków i wykonawców, i uda mi się przetrwać tam wiele lat, wtedy będę mógł powiedzieć, że jestem supergwiazdą i osiągnąłem prawdziwy sukces.

— Co sądzisz o swoich fanach?

— Bardzo się cieszę, że jest grupa ludzi, których interesują moje

proponacje. Często spotykam się ze swoimi fanami, dyskutuję z nimi o muzyce i moich piosenkach. Spotkania takie odbywają się zwykle w kawiarni lub w mojej garderobie, zaraz po koncercie. Wtedy jest najlepsza okazja i sposobność do szczerzej rozmowy. Ja jestem jeszcze przejęty tym, co prezentowałem przed chwilą, oni zaś są bądź pod wrażeniem mojego programu lub też go krytykują. Reakcje moich fanów są dla mnie bardzo ważne, korzystam z ich rad i wskazówek przy opracowywaniu kolejnych „numerów” koncertowych.

— Czy masz swoją dziewczynę lub też stałą przyjaciółkę?

— Nie, jednej nie mam, mam ich wiele. Jestem młody i mam tak o-

gromne serce, że nie chcę unieszczęśliwiać wielu pięknych kobiet sytuacją, że moje serce może być zajęte.

— Mieszkasz jeszcze z rodzicami...

— No właśnie. Wielu ma mi to za złe i nazywa nawet maminsynkiem. Tak jednak nie jest. Bardzo kocham rodzinę i dom, w którym mieszkam. Przyjaźnię się z moim rodzeństwem, to znaczy z bratem Lorym, który ma 27 lat i jest elektronikiem, fa-

SUPER DEN

chowcem od komputerów, oraz z siostrą Manuellą, starszą o rok od brata, już mężatką.

— Nie myślisz o założeniu własnej rodziny?

— Nie. Bardzo lubię dzieci i chciałbym ich mieć kiedyś bardzo dużo, ale mając 25 lat i jeszcze tyle do zrobienia, nie mogę obarczać żony wszystkimi sprawami związanymi z wychowaniem dzieci przy prowadzeniu domu. Jeszcze trochę poczekam.

— Jak spędzasz wolny czas?

— Gdy mam kilka wolnych godzin, trenuję judo. Niestety, noszę czarny pas i nikt nie chce ze mną walczyć.

— Mimo to podczas występu chronię cię dwudziestu policjantów.

— Są często sytuacje, że obawiam się o swoje życie. Bywa tak, że dziewczęta zachowują się nierozsądnie i wskutek tego bluzkę mam na sobie tylko kilka minut, spodnie kilkanaście, a więc bezpieczeństwo jest sprawą konieczną. Nie gościłem z tego powodu w szpitalu, ale kilka razy zostałem ściągnięty z estrady w tłum rozhisteryzowanych nastolatów. Następnego dnia przeczytałem w prasie: „Den Harrow w ramionach nieprzytomnych dzieciaków”. Dla mnie takie sytuacje kończą się kontuzjami typu: siniaki, trudności w oddychaniu, otarcia. Nie jest to przyjemne, bo nigdy nie wiadomo, jaki może być finał takiej manifestacji uczuć. Tak naprawdę wystrzegam się kontaktu z publicznością, jeśli może mi on przynieść takie następstwa.

— Czy twoje koncerty są typowe dla włoskich wykonawców?

— I tak, i nie. Jestem Włochem z pochodzenia, choć urodziłem się w Bostonie w 1962 roku, ale po trzech latach moi rodzice przeprowadzili się do Włoch. Jestem więc i żywiołowy, a kiedy trzeba chłodny, łącząc w sobie dwa temperamenty: Włocha i Amerykanina.

— Komu przede wszystkim zawdzięczasz swój sukces?

— Oczywiście rodzicom, tylko i wyłącznie. Ojciec, architekt, zainteresował mnie modą na tyle, że niektóre domy mody we Włoszech korzystały z moich projektów. Mama jest natomiast znakomitym doradcą w wielu sprawach, a także daje mi tak potrzebny w tym zawodzie spokój. Od domów mody na estradę już było bardzo blisko. Pomogli mi w tym przyjaciele.

— Twoje plany na przyszłość...

— Trudno powiedzieć, co będzie się robić za 20 lat. Wiem jedno, że swojego życia nie będę budował na schemacie. Nie lubię zastrój i sztampy. Cenię natomiast ruch i ciągłe zmiany w tym, co robię. W tej chwili obcuje z muzyką i wierzę, że w tym tkwi jakiś sens.

EPILOG

16 listopada 1981 rozpoczął się w Sydney proces trwający bez mała trzy miesiące, jako że jego materia była równie zawiła, co delikatna. Jillie Nazar-Steward, wdowa po Fredericku Stewardzie, oskarżona została o zamordowanie niejakiej Betty Davies, która ugodzona dwoma kulami ze sztucera — zmarła z upływu krwi po przewiezieniu jej do szpitala.

Ale sąd nie poprzestał na tym, bowiem okoliczności, w jakich doszło do popełnienia tej zbrodni, ujawniały współwinnych w osobach panny Ofelii Clark i jej szefa, Stanleya Garbera. Prokurator dowodził, że nieodpowiedzialny wybrzyk pomocnicy detektywa w sposób ewidentny wpłynął na przebieg wydarzeń, natomiast szef prywatnej agencji detektywistycznej odpowiada za swoich pracowników w sensie prawnym i fizycznym. Po konsultacjach z policją odstąpiono w końcu od oskarżenia detektywa, ponieważ położył on wielkie zasługi w schwytaniu i udowodnieniu winy dwóm bandytom, pozostającym na służbie u lichwiarza Czenga.

Lysy grubas i facet z twarzą opryska sądowni byli w tym samym procesie, bowiem wszyscy, którzy w nim uczestniczyli w charakterze bądź świadków, bądź oskarżonych, w taki czy inny sposób związani byli ze sprawą niewątpliwie najważniejszą i najdelikatniejszą zarazem, a mianowicie z tajemniczym zniknięciem i dziwnym odnalezieniem się Stefani Harper.

Stefania nie stawiała się przed sądem ze względów zdrowotnych. Dziennikarze snuli różne domysły, tymczasem prawda była taka, że doktor Marshall musiał przeprowadzić kolejną operację plastyczną jej twarzy. Tym razem uszkodziła ją spadająca z sufitu belka, a w ogóle gdyby nie John, siedzący przed drzwiami pokoju, być może zostałaby w nim na zawsze.

Przebieg wydarzeń, które do tego doprowadziły, był mniej więcej taki:

Jilli, nie mogąc słuchać dłużej głosu z zaświatów, na wpół oszalała ze strachu wybiegła na korytarz i zastała tam Marsdena ze sztucerem w ręku. Był on kompletnie pijany i prawdopodobnie ubzdurał sobie, że rozprawi się z duchem za pomocą broni palnej, jednak na widok Jilli cisnął karabinek na podłogę i wyskoczył na dziedziniec. Wdowa Steward podniosła sztucer, pobięła za nim, chcąc go zastrzelić, a potem widząc w ciemnościach obok basenu jakąś sylwetkę, oddała w jej kierunku trzy strzały. Przypadkiem była to Betty Davies. Marsden natomiast siedział już w tym czasie za sterami Czesny, zaś po chwili, na pełnym ciągu silników, nie odrywając maszyny od ziemi, zderzył się z domem i zginał na miejscu.



Czeng, aresztowany przez Collinsa pod zarzutem nakłaniania do popełnienia morderstwa, wynajął najlepszych adwokatów, którzy z mistrzowską wprawą punkt po punkcie zbijali wszystkie stawiane mu przez prokuratora oskarżenia. W sumie jedynym namacalnym sukcesem inspektora było przekonanie Stefani Harper, aby zechciała złożyć pisemne oświadczenie obciążające Jillie Steward. Zeznała ona pod przysięgą, że kiedy znalazła się w wodzie i Marsden chciał strzelić do krokodyla. Jillie podbiła rękę Grega, uniemożliwiając mu w ten sposób przyjście jej z pomocą. Za takie sukcesy policjanci awansów jednak nie dostają, toteż Collins poszedł w końcu na emeryturę nie awansując do stopnia komisarza, z pensją nie godną takiego, jak on, policyjnego prominenta.

Proces zakończył się następującymi wyrokami: Jillie Nazar-Steward została skazana na dziewięć lat więzienia, dwaj bandyci Czenga dostali po osiem. Ofelia Clark — sześć miesięcy w zawieszeniu, zaś Czenga z braku dostatecznych dowodów uniewinniono. Garber po przysięgł mu jednak zemstę, wspólnie zresztą z Collinsem, który znalazł u niego zajęcie.

29-letni przyjeżdża je wskazywał. Tłumaczył lejkach z nieznanych stolatków. lenie pa... — zapewnięcią u wo przyt... pastnicy zł. F. po... za zaczę... Dochodze... funkcion... okazało s... ne: zarzu... złożenie... nym prz... Stanistaw... do klubu... plot. Wo... sprawnoś... się tłuką... znać do

Równieś... z Piątnic... z siekier... przy ul... mownicy... niła niez... troje dra... rozbroili... patrzenie... szonym... D. pomo... z matura... się na gr... lona zł... wana w z

Z

Sąd Re... rok ogra... kiem pot... proc. mie... dziesięt... wpływem... rowcę au... też nawia... PCK i C

Rolniko... le (gm. K... lektryczn... metry od

W Lom... Tadeusz... dzieci) k... wolności... oraz 50 t... po 10 000... koszty pos... dek chuli

Przez n... SP nr 4... wał drzew... netrowal... wyszedł.

W dużo... sów włam... kulami do... wie Kości... z 14 490 zł... mieszczeni

Napoje... artykuły... padły tupe... racji „Sni... MO zatrzy... latka Stan... ler, wlelok... trzyletnie... ranego z a

Trzydziest... stawa Z... USA. Po... się do Wa... merykańsk... często zda... powrocie... dawkę śro

KONTAKTY

broni
viam
ze
sąd-
n na
kil-
jest
z
kilka
rady
asto-
zyta-
y ra-
ecia-
koń-
iaki,
Nie
nie
akiej
wde
liczn-
nieść
e dla
chem
się w
po
więc
łód-
era-
wzię-
co i
inte-
nie-
ko-
fama
adca
e mi
spo-
ę już
ni w
ędzie
o, że
u na
u i
h i
W
wie-
do
rzy
iane
nym
cia-
nala
cial
mu
anci
na
god-
ward
do-
zaś
po-
tóry

39-letni pacjent, Stanisław F., został przyjęty na oddział chirurgiczny gajewskiego szpitala z obrażeniami ciała. Tłumaczył on, że około 10.30 w tzw. alejkach został zaczepiony przez trzech nieznanych mu siedemnasto-dziewiętnastoletków. Jeden poprosił go o zapalenie papierosa, a zorientowawszy się — zapewne — że jest podstępny, dał mu pięścią w ucho tak, iż stracił chwilowo przytomność. Z kieszeni kurtki na pastnicy zabrali mu ponadto 15 tysięcy zł. F. powtórzył tę historię milicji, ta zaś zaczęła typować sprawców napadu. Dochodzenie zakończyło się sukcesem funkcjonariuszy, co w tym przypadku okazało się dla zainteresowanego fatalne: zarzucono mu bowiem przestępstwo, złożenie zawiadomienia o niepełnym przestępstwie. Faktycznie bowiem Stanisław F., chcąc dojść „na skróty” do klubu, przechodził przez betonowy płot. Wódka upośledziła widocznie jego sprawność, gdyż spadł z płotu, boleśnie się tłukąc. Wstydził się jednak przyznać do tego upadku przed obcymi.

Również Stanisław F., Henryk D. z Piątnicy odwiedził — po pijanemu i z siekierą w ręku — pewne mieszkanie przy ul. Stacha Konwy w Łomży. Domownicy wezwali milicję, by obezwładniła nieznane gościa, który „załatwił” troje drzwi, liczniki, okno. Milicjanci rozbili D. i sporządzili wniosek o rozpatrzenie jego czynu w trybie przyspieszonym. Sąd uznał, że straty — które D., pomocnik mleczarski OSM i rolnik z maturą, spowodował — kwalifikują się na grzywnę przekraczającą pół miliona zł, więc sprawa będzie rozpatrywana w zwykłym trybie.

Z KRONIK MO

Sąd Rejonowy w Grajewie skazał na rok ograniczenia wolności z obowiązkiem potrącenia na skarb państwa 15 proc. miesięcznego wynagrodzenia dwudziestolenego Mirosława R., który pod wpływem alkoholu uderzył w twarz kierowcę autobusu, Andrzeja K. Zapłaci też nawłazkę: dla poszkodowanego, na PCK i Centrum Kultury ZSMP.

Rolnikowi Józefowi P. ze wsi Zabiele (gm. Kolno) ukradziono pastucha elektrycznego, zainstalowanego 2 kilometry od zabudowań.

W Łomży Sąd Rejonowy wymierzył Tadeuszowi K. (lat 35, żonaty, troje dzieci) karę 6 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata oraz 50 tysięcy zł grzywny, 3 nawłazki po 10 000, 7400 zł opłaty skarbowej plus koszty postępowania za pobicie, z pobudek chuligańskich, Tadeusza S.

Przez nie zamknięte okno wszedł do SP nr 4 nocą jakiś ciekawski. Sforsował drzwi do gabinetu dyrektora, spełnował go i — nic nie zabierając — wyszedł.

W dużo bardziej skomplikowany sposób włamał się ktoś do sklepu z artykułami do produkcji rolnej w Dąbrowie Kościelnej i dobrał się do kasety z 14 490 zł. W rewanż zostawił w pomieszczeniu ogromny bałagan.

Napoje alkoholowe, papierosy i inne artykuły ogólnej wartości 48 tysięcy zł padły łupem włamywacza do restauracji „Śniadowlanka”. Funkcjonariusze MO zatrzymali winnych: czterdziestolatka Stanisława S. (niepracujący kawaler, wielokrotnie karany) i dwudziestotrzyletniego Zbigniewa B., również karanego z art. 208 kk.

Trzydziestodwuletnia grajewanika Wiesława Z. ubiegła się o wyjazd do USA. Po otrzymaniu paszportu udała się do Warszawy, by uzyskać wizę amerykańską. Jak to się ostatnio dość często zdarza, nie otrzymała jej. Po powrocie do domu zażyła śmiertelną dawkę środków uspokajających.

SPÓŁDZIELNIA RZEMIEŚLNICZA „WIELOBRANŻOWA”

18-200 WYSOKIE MAZOWIECKIE, Ul. Sienkiewicza 10

OFERUJE DO SPRZEDAŻY

PŁYTY OCIEPLAJĄCE SUPREMA

o wymiarach 100×50×5 cm. Zamówienia prosimy składać pod adresem Spółdzielni. Informacja w biurze Spółdzielni, tel. 25-57, lub bezpośrednio w zakładzie produkcyjnym: Ciecior-ki 2 k.Zambrowa.

K-249

ŁOMŻYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO GOSPODARKI TURYSTYCZNEJ

„BIEBRZA”

18-400 Łomża, ul. Zamiejska

ZATRUDNI

GŁÓWNEGO KSIĘGOWEGO.

Warunki pracy i płacy do uzgodnienia w Dziale Kadr.

K-272

PRZEDSIĘBIORSTWO GOSPODARKI MASZYNAMI BUDOWNICTWA „WARSZAWA”

ZATRUDNI

pracowników na stanowiskach robotniczych:

- maszynista żurawia wieżowego
- pomocnik masz. żur. wież. (wymagana ZSZ) do przeszkolenia
- maszynista żurawia samojezdnego
- pomocnik masz. żur. sam. (wymagana ZSZ; prawo jazdy min. kat. B) do przeszkolenia
- masz. spycharki
- kierowca samochodu dost. i ciężarowego
- kierowca ciągnika „Ursus”
- operator pompy „Stetter”
- mechanik samochodowy
- lakiernik poj. samochodowego
- elektromonter
- spawacz, tokarz, frezer, szlifierz, kowal, ślusarz
- monter mechanik maszyn budowlanych
- robotnik torowy
- ładowacz konstrukcji stalowych
- pracownik magazynowy
- wydawca narzędzi
- pracownik usług gospodarczych (praca przy wyd. posiłków, parzenie kawy, naprawa odzieży)
- masz. koparki K-606
- robotnicy niewykwalifikowani do przyuczenia do obsługi maszyn budowlanych (agregatów tynkarskich)
- masz. koparko-spycharki Białorus 3.

Nie reflektujemy na pracowników, którzy porzucili pracę lub zostali zwolnieni dyscyplinarnie.

Przedsiębiorstwo zapewnia bezpłatne zakwaterowanie w hotelach robotniczych dla mężczyzn, a po 5 latach nienagannej pracy możliwość ubiegania się o mieszkanie spółdzielcze poprzez Spółdzielnię Mieszkaniową „Budowlani”.

Informacje: telefonicznie nr 45-24-61, wewn. 11 i 52 lub osobiście w Dziale Kadr Warszawa ul. Olesińska 21, II p. pok. 214 i 215.

K 149-1

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Zambrowie, w postępowaniu zwyczajnym ukarało prawomocnym orzeczeniem z art. 51 § 2 KW Ob. Sławomira Konopkę s. Henryka, ur. 4.05.1967 r. zam. Targonle Krytuły, karą zasadniczą grzywny w wys. 50.000 zł z zamianą na 90 dni aresztu zastępczego, jako karę dodatkową orzekło podanie treści orzeczenia do publicznej wiadomości na łamach tyg. „Kontakty” na koszt obwinionego oraz obciążyło kosztami postępowania w wys. 1000 zł za to, że w dniu 11.05.1987 r. o godz. 14 w Zawadach, będąc w stanie po użyciu alkoholu na werandzie baru używał donośnym głosem nieprzyzwoitych oraz zaczepiał innych konsumentów, czym zakłócił spokój i porządek publiczny.

K 146-1

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Zambrowie, w postępowaniu zwyczajnym ukarało prawomocnym orzeczeniem z art. 51 § 2 KW Ob. Zbigniewa Wądołowskiego, s. Tadeusza, ur. 23.03.1967 r., zam. Targonle Krytuły, karą zasadniczą grzywny w wys. 50.000 zł z zamianą na 90 dni aresztu zastępczego, jako karę dodatkową orzekło: podanie treści orzeczenia do publicznej wiadomości na łamach tygodnika „Kontakty” na koszt obwinionego, obciążyło kosztami postępowania w wys. 1000 zł za to, że w dniu 11.05.1987 r. o godz. 14 w Zawadach, będąc w stanie po użyciu alkoholu na werandzie baru używał donośnym głosem nieprzyzwoitych słów oraz zaczepiał innych konsumentów.

K 147-1

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Naczelniku Miasta i Gminy w Zambrowie, w postępowaniu zwyczajnym ukarało prawomocnym orzeczeniem z art. 51 § 2 KW Ob. Henryka Zielińskiego, s. Stanisława, ur. 30.07.1962 r. zam. Zawady, ul. Sienkiewicza 85, karą zasadniczą grzywny w wys. 50.000 zł z zamianą na 90 dni aresztu zastępczego, jako karę dodatkową orzekło: podanie treści orzeczenia do publicznej wiadomości na łamach tygodnika „Kontakty” na koszt obwinionego, obciążyło kosztami postępowania w wys. 1000 zł za to, że w dniu 11.05.1987 r. o godz. 14 w Zawadach, będąc w stanie po użyciu alkoholu na werandzie baru używał donośnym głosem słów nieprzyzwoitych oraz zaczepiał innych konsumentów czym zakłócił spokój i porządek w miejscu publicznym.

K 148-1

OFERTY matrymonialne krajów europejskich wysyła Biuro „Mazury”, Olsztyn, skrytka 336.

Sprzedam silnik przyczepny do łodzi typ WIETTEROK 8E oraz sprzęt fotograficzny do koloru OPEMUS 5 KOLOR. Łomża, tel. 68-065 (po 15.00).

Zatrudnię krawcowe oraz do przyuczenia zawodu. Podlesna 37 (Zakład), Stobienia.

K 126-0

K-2897

K-2902

OGŁOSZENIA DROBNE

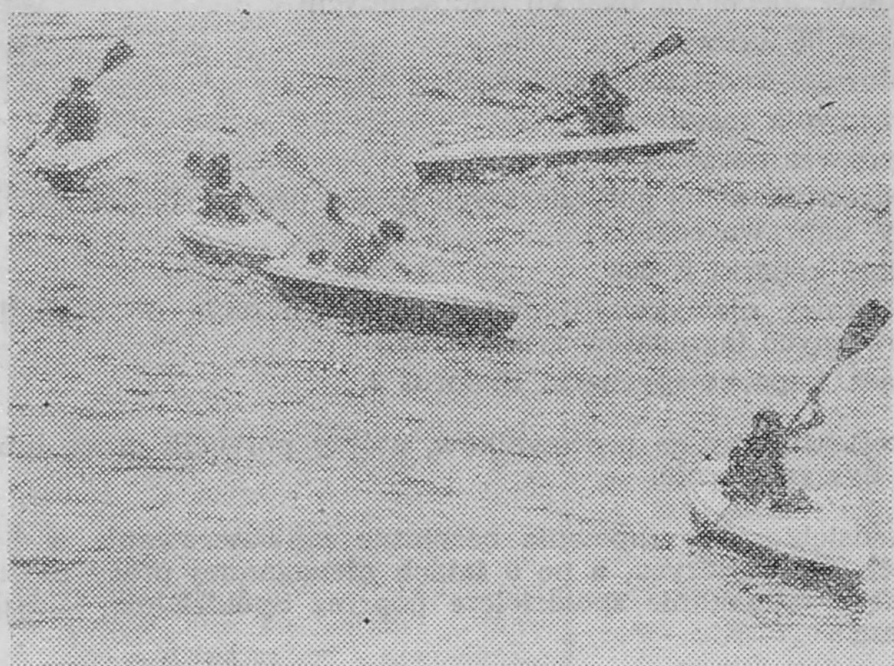
REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Henryk Gała, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedźwiecka, Jan Oniszcuk, Stefan Ostrowski, Witold M. Patoka, Gabriela Szczesna, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter: Gabor Lőrinczy. Redaktor graficzny: Stanisław Kędziawski. Redaktor techniczny i korekta: Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Krzysztof Dworniczak, Bronisław Golebiowski, Wiesław Kolowski, Piotr Kunciewicz, Krzysztof Kurianiuk, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel.

ADRES REDAKCJI: 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, Telefony: 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 34-95 (administracja). Telex: 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Białostockie Wydawnictwo Prasowe — dyr. mgr Romuald Łazarowicz, 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne — dyr. mgr Witalis Sadowski, kierownik Oddziału Gazet i Czasopism — Stanisław Fajst Zam. 1144/87 r. Nakład 18 600 egz. PL ISSN 0208 6840 Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty”, 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalnie — 260 zł, półrocznie — 520 zł, rocznie — 1040 zł. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. W-2

Kontakty



LATO!



SWIAT PELEN TAJEMNIC

Cały świat skierował oczy na Księżyc. 20 lipca 1968 r. Astronauta Aldrin filmował naturalnego satelitę Ziemi z pokładu statku „Apollo 11”. Wtedy na horyzoncie pojawiły się nagle dwa jasno błyszczące krążki różnej wielkości. Leciwały tworząc pewną formację, oddalały się od siebie, a potem zbliżały na minimalną odległość. Wykonywały manewry, do których nie byłyby zdolne statki wyprodukowane na Ziemi.

Astronauta Neil Armstrong, który jako pierwszy człowiek postawił nogę na Księżycu, potwierdził to później mówiąc: „Byłem bardzo zaskoczony. Widziałem to jednak na własne oczy”. (Jerzy Domański: „Zagadka epoki”).

Najwięcej kontrowersji wywołały słowa wypowiedziane przez niego od razu po wyjściu z lądowiska LM: „Są tu wielkie obiekty, sir! Olbrzymie! Są tu także inne statki kosmiczne, ustawione po drugiej stronie krateru! Są na Księżycu i obserwują nas!”

Zostało to potraktowane jako żart, ale sam astronauta nigdy więcej na

ten temat nie chciał mówić. Nie potwierdzał ani nie zaprzeczał.

Emocje związane z obserwacją tajemniczych obiektów przeżyła również załoga statku „Apollo 12”. Ta wyprawa odbyła się w dniach 14-24 XI 1969 r. Początkowo wszystko przebiegało bez większych niespodzianek. Dopiero po pokonaniu 270 tysięcy kilometrów dzielących astronautów od Ziemi dostrzegali oni w pobliżu dwa błyszczące obiekty. Między Rogerem Gordonem a technikiem Geraldem Carrem z Ośrodka Kontroli Lotu w Huston — w drugim dniu wyprawy — wywiązała się następująca rozmowa:

„GORDON: — Nierozpoznany obiekt bardzo jasno świeci i obraca się z prędkością kątową półtora obrotu na sekundę albo błyska w naszym kierunku z taką częstotliwością.”

CARR: — Roger, zobaczmy, jak sytuacja potoczy się dalej.

GORDON: — Dobrze.

CARR: — Patrząc na to z Ziemi myślimy, że części osłony lądowiska LM nie mogą obracać się z większą prędkością niż 0,5 metra na sekundę lub coś w tym rodzaju. O-

stony te powinny znajdować się od was, z prawej strony, w odległości 620 kilometrów.

GORDON: — To może być prawdą, ale... Właśnie odwróciłem się i widzę, jak jeden z tych przedmiotów odlataje stąd z wielką prędkością. Wydaje mi się, że obracał się szybciej niż 0,5 metra na sekundę.

CARR: — Naprawdę nie wiemy, nie rozumiemy, jak to mogło tak szybko odlecieć.

GORDON: — Wszystko w porządku. Zakładamy, że to jest w stosunku do nas przyjazne.”

Po chwili przerażony astronauta zameldował Ośrodkowi Kontroli w Huston: „Nasza kabina była przez kilkanaście sekund rozjaśniona jakimś dziwnym światłem bez cienia. Ściany statku nie stanowiły dla niego żadnej przeszkody”.

Nie koniec na tym. W czasie opuszczania się lądowiska LM na powierzchnię Księżyca miliony amerykańskich telewizorów zobaczyły, mknące w polu widzenia kamer telewizyjnych statki „Apollo”, tajemniczo świecące dyski. Słychać było podeskcytowane głosy amerykań-

POKOLENIE

Wszyscy liczą sobie powyżej pięćdziesiątki. Urodzili się tuż przed drugą wojną światową, przeżyli ciężkie dzieciństwo, a okres ich intelektualnego dojrzenia przypadł na lata pięćdziesiąte. Wówczas kończyli szkoły i wyższe uczelnie; podejmowali pierwszą pracę; rozpoczynali działalność polityczną w partiach i organizacjach młodzieżowych.

Oto krótka charakterystyka bohaterów książkowego wydania wywiadów Andrzeja Kępińskiego i Zbigniewa Kilara, czyli tych, których codziennie widzimy na ekranach telewizorów, o których czytamy na pierwszych stronach gazet — wicepremierów, ministrów, sekretarzy KC PZPR, prezesów stronnictw i organizacji politycznych.

Autorów skusiła chęć, wydawałoby się nierealna, przełamania dyplomatycznego kołnierzyka i drętwy gazetowych wywiadów z oficjalnymi przedstawicielami władzy. Rezultat ich pracy można określić jako połowiczny sukces. Sukces, ponieważ dwa dotychczas opublikowane tomy rozmów zawierają wiele informacji, których próżno by szukać w podręcznikach historii najnowszej. Zresztą, historiografowie podążają zwykle w bezpiecznej odległości za współczesnością, więc na wartościowe opracowania trzeba będzie jeszcze długo czekać.

Połowiczny, bo mimo całego nowatorstwa, wyraźnie czujemy, iż reguły gry dyktują rozmówcy, a co za tym idzie dużo z oficjalnej frazeologii przeniknęło na karty książki.

Właśnie zawartość informacyjna jest największym atutem tych wywiadów, a dwa z nich wydają się szczególnie godne polecenia: z wiceprezesa Naczelnego Komitetu ZSL, profesorem Józefem Kukulką, i ministrem spraw wewnętrznych, generałem Czesławem Kiszczałem. Ten ostatni zastrzegł sobie nawet każdorazową zgodę na wykorzystanie choćby fragmentu udzielonego wywiadu.

Zalety książki nie kończą się na ciekawostkach z najnowszych dziejów Polski: daje ona bowiem rzadką okazję bliższego przyjrzenia się tym, którzy nami rządzą. Poznanie życiorysu polityka powinno pomóc w zrozumieniu motywów podejmowanych przezeń decyzji. Prawda to cokolwiek banalna, choć z drugiej strony: wpływu doświadczenia życiowego na wybory polityczne nie można określić wprost. Z lektury notatek biograficznych i wypowiedzi bohaterów można jednak wywnioskować, że oto mamy do czynienia z pewną formacją pokoleniową. Mimo różnorodności losów, wiele cech jest wspólnych. Dzieciństwo i młodość wyznaczają niedostatek i ciężka praca, później przychodzi czas na wielkie zaangażowanie w budowę podstaw nowego ustroju: industrializację, reformę rolną, socjalistyczną kulturę. Choć minęło już tyle lat, emocjonalny związek z pierwszą dekadą Polski Ludowej nie słabnie.

Zyciowe doświadczenie to rzecz bezcenna, dopóki nie prowadzi do upartego konserwalizmu w myśl zasady: „tak samo było dawniej i jakoś szło”. Polityka wymaga od swoich adeptów ciągłego uczenia się nowych prawd. Kto o tym zapomni, zostanie z tyłu, a wraz z nim ci, których reprezentuje. (jon)

Andrzej Kępiński, Zbigniew Kilara — „Kto jest kim w Polsce inaczej. Część II”, „Czytelnik”, Warszawa 1986.

obce ciała w kosmosie

skich astronautów, rozmawiających z Ośrodkiem Kontroli Lotu. Tajemnicze obiekty towarzyszyły jeszcze załodze „Apollo 12” w ostatniej fazie lotu — podczas zbliżania się do Ziemi.

Jerzy Domański stawia pytanie: czy i jakie statki mogłyby akurat w tym czasie znajdować się w odległości 270 tysięcy kilometrów od Ziemi? I odpowiada: nie ulega wątpliwości, że nie mogły być one wysłane z naszej planety. A więc skąd? Na to pytanie postaram się odpowiedzieć za tydzień. (dik)

PS. Kosmonauta Piotr Klimuk: „Podczas jednej z wypraw zauważyłem, że statkowi towarzyszył jakiś metaliczny przedmiot. Czyżby UFO? Dopiero później okazało się, że był to nasz własny pojemnik z odpadkami, usunięty ze statku. Nie przypuszczam, aby Ziemia była obiektem penetracji UFO i nikt, choćby wiedział o naszym istnieniu, nie obserwuje nas. Dlatego też należy wykluczyć i Bliskie Spotkania Trzeciego Stopnia. Nie wykluczam natomiast istnienia innych cywilizacji, z którymi spotkanie kiedyś nastąpi”.



Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”: „Brygady Tygrysa”.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. „Kaz” (7) — serial USA.
21.15. Studio Sport: Wyścig dookoła Polski i Spartakiada Młodzieży.
22.00. „Majdanek” — cmentarzysko Europy — film dok.
22.45. DT — Komentarze.
Program 2
16.30. „Dziewczynka z miasta” — radz. film fab.
18.30. „Integra” — moja miłość — film dok.
19.00. „Magazyn 102”.
20.00. Salon muzyczny: Agnieszka Duczmal i jej orkiestra.
20.50. „Grać albo nie grać” — recital duetu Banasik-Zubek.
21.30. Panorama dnia.
22.30. „Ciezarowcy”.
23.05. Wieczorne wiadomości.

PIĄTEK — 24.07.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
20.00. „Włoska restauracja” — wł. film fab.
21.40. Spartakiada Młodzieży.
22.05. „Zawsze po 21.00”.
22.40. DT — Komentarze.
23.05. „Z historii Wietnamu” (4) — franc. film dok.
Program 2
16.30. „Tomasz i Zuzanna” — film fab. CSRS.
18.30. „Magazyn 102”.
19.30. Poznaj swój kraj.
20.50. Antyczny świat prof. Krawczuka — Jazon.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Filmy z Gerardem Philippe'm: „Czerwone i czarne” (cz. I).
23.30. Stan krytyczny.
24.00. Wieczorne wiadomości.

SOBOTA — 25.07.87

Program 1

9.00. Dla młodych widzów: „Kor-dzik” (2) — serial radz.
10.30. DT — Wiadomości.
10.40. Stare, nowe, najnowsze.
11.30. Z Polski rodem.
12.30. Bariery.
14.00. Esperanto — film dok.
15.10. Antologia dramatu powszechnego: Pedro Calderon de la Barca — „Niewidzialna kochanka”.
17.15. Teleexpress.
17.40. Popołudnie z „Pegazem”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Z kamerą wśród zwierząt.
19.30. Dziennik.
20.00. „Dom wśród drzew” — franc. film fab.

21.35. Czas.
22.05. 7 dni na świecie.
22.15. Sportowe rytmy tygodnia.
23.15. DT — Wiadomości.
23.25. Kino Noce: „Wilczyca” — pol. film fab.

Program 2

15.00. „Chwila wytchnienia” — rum. film fab.
17.00. Dla dzieci: „Przygody naszych ulubieńców”.
18.30. Adam Mickiewicz — „Pan Tadeusz”, ks. VII: „Rada”.
19.30. „Kij w mrowisko” — reportaż.
19.45. „Raj odnaleziony” — reportaż.
20.00. Łańcut '87: Trio im. Fryderyka Chopina.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Sława” (5) — serial USA.
22.25. Koncert galowy VIII Przeglądu Piosenki Aktorskiej.
23.50. Wieczorne wiadomości.



NIEDZIELA — 26.07.87

Program 1

9.00. Kino „Teleferii”: „O czym szumią wierzby” — ang. serial anim. oraz „Niebieskie lato” — serial hiszp.
10.30. DT — Wiadomości.
11.25. Siedem anten.
13.40. „John Gielgud: Moje życie to scena”.
14.15. Koncert życzeń.
15.35. Studio Sport.
16.00. „Vie privée” — recital Han-ny Banaszak.
16.35. Antena.
17.30. XXIV Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki „Opole '87” — „Debiuty”.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik.
20.00. „Blisko, coraz bliżej” (14) — serial TVP.
21.10. „Pegaz”.
22.30. Sportowa niedziela.
23.00. DT — Wiadomości.

Program 2

14.20. Jutro poniedziałek.
15.15. Videoteka.
16.00. „Kino-oko”.
17.00. „Zwierzęta świata” — franc. film dok.
18.00. „Co mnie bawi” — opowiada Janusz Rewiński.
19.30. „Gaspard de la nuit” Ravela gra Francois Killan.
20.00. Studio Sport.
21.00. Portrety intymne: George Sand.
21.30. Panorama dnia.

21.45. „Richelieu” (4) — franc. serial hist.
23.40. Wieczorne wiadomości.

PONIEDZIAŁEK — 27.07.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. Teatr TV: Guy de Maupassant — „Mała Roque”.
21.00. Studio Sport.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. „Sponsor” — teleturniej.
19.00. „Magazyn 102”.
19.30. Jak uprawiać sport: tenis.
20.00. Nasza Warszawa.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Biografie: „Tumor Witkacego”.
23.35. Wieczorne wiadomości.

WTOREK — 28.07.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. „Pod wiatr” (4) — serial australijski.
21.20. Tel. film dokumentalny.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. „Ryzyko” — teleturniej.
19.00. „Magazyn 102”.
19.30. Poznaj swój kraj — Bieszczady.
21.10. „Polak na wakacjach” — reportaż.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Filmy Oldricha Lipsky'ego: „Lemoniadowy Joe”.
23.20. Wieczorne wiadomości.

ŚRODA — 29.07.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. „Ostatni skok gangu Olsena” — duński film fab.
22.00. „Począ obywatelska” — program publicystyczny.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. „Wiem wszystko” — teleturniej.
19.00. „Magazyn 102”.
19.30. Poznaj swój kraj — Beskid Niski.
20.15. Dookoła świata: „Na wielkiej rafie koralowej”.
20.45. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Non stop kolor.
23.05. Wieczorne wiadomości.

ZOBACZCIE KONIECZNIE

● W piątek, 24 lipca, w cyklu prezentacji aktorskich Gerarda Philippe'a zobaczymy ekranizację znanej powieści Stendhala „Czerwone i czarne”. Reżyser — Claude Autant-Lara — stworzył najpełniejszą jak dotąd adaptację filmową tego klasycznego dzieła. Na przeszkodzie 4 tysiącom metrów barwnej taśmy utrwalaono całą akcję książkową, od początku kariery Juliana Sorela (wspaniała rola Gerarda Philippe'a) aż po jego tragiczną śmierć z wyroku społecznego. Dodatkowym walorem są znakomite kreacje aktorskie Danielle Darrieux — pani de Renal, oraz Antonelli Luaili — Matylda de la Moie (pr. II, godz. 21.45 — cz. I).

● W sobotę, 25 lipca, „Dom wśród drzew” — francuski film sensacyjny. Znany amerykański matematyk przyjeżdża z żoną i dwójkiem małych dzieci, aby napisać książkę. Niespodziewanie od jednego z byłych współpracowników otrzymuje propozycję współpracy, polegającej na szpiegostwie przemysłowym. Kiedy ją odrzuca — para jego ukochanych dzieci znika bez śladu. Doborowa obsada: Faye Dunaway, Barbara Parkins, Frank Langella (pr. I, godz. 20.00).

● Również w sobotę, w cyklu „Antologia dramatu powszechnego”, komedia XVII-wiecznego hiszpańskiego dramaturga Pedro Calderona de la Barki — „Niewidzialna kochanka”, z udziałem Daniela Olbrychskiego, Zbigniewa Zapasiewicza, Jana Englerta i Piotra Fronczewskiego. Spektakl wyreżyserował w roku 1969 Gustaw Holoubek (pr. I, godz. 15.10).



„Meteor” Ciechanowiec: 23-24.07 — „Oldrich i Bożena”, CSRS, od l. 15; 25-26.07 — „Och Karol!”, pol. od l. 15; 28-29.07 — „Lata dwudzieste, lata trzydzieste”, pol. od l. 15.
„Roma” Grabowo: 23-24.07 — „Yama-ha — stragan rybny”, jap., od l. 12; 25-26.07 — „Bolek i Lolek na Dzikim Zachodzie”, pol., b/o; 28-29.07 — „Mi-łość Swanna”, RFN, od l. 18.
„Relax” Grajewo: 23-24.07 — „Szcze-gólna miłość”, NRD, od l. 15; 25-26.07 — „Psy wojny”, USA, od l. 18; 27-29.07 — „Głupcy z kosmosu”, ang., od l. 12.
„Oaza” Jedwabne: 25-26.07 — „Król Maciś I”, pol., b/o, i „Sceny dziecięce z życia prowincji”, pol., od l. 18.
„Wrzós” Kolno: 23-24.07 — „Yester-day”, pol., od l. 15; 25-26.07 — „Na gra-nicy”, USA, od l. 18.
„Millenium” Łomża: 24-26.07 — „Trze-ba grać”, weg.-USA, od l. 15; 27-28.07 — „Sprawa się rypla”, pol., od l. 15.
„Październik” Łomża: 23-24.07 — „Thais”, pol., od l. 18; 25-27.07 — „Naj-lepszy kumpel”, USA, od l. 15; 28-29.07 — „Krzyk”, pol., od l. 18.
„Naprzód” Mały Płock: 26-27.07 — „Cyrk w cyrku”, CSRS, b/o, oraz „En-klawa”, NRD, od l. 15.
„Saturn” Stawiski: 23-24.07 — „Bra-terstwo krwi”, weg., od l. 18, oraz „Chłopak z wesołego miasteczka”, NRD, od l. 15; 25-26.07 — „Wielka podróż Bol-ka i Lolka”, pol., b/o; 28-29.07 — „1941”, USA, od l. 15.
„Awangarda” Wąsosz: 23.07 — „Ama-deusz”, USA, od l. 15; 25-26.07 — „Pod wulkanem”, USA, od l. 18.
„Wars” Wysokie Mazowieckie: 24-26.07 — „Zygryd”, pol., od l. 15; 28-30.07 — „Tanie pieniądze”, pol., od l. 18.
„Kosmos” Zambrow: 24-27.07 — „Sprze-dawca kapeluszy”, franc., od l. 18; 28-31.07 — „Macaroni”, wł., od l. 15.



Deszczowa aura sprawiła, że zakoń-czenie piłkarskiego turnieju „dzikich drużyn” o puchar prezesa Łomżyńskie-go Klubu Sportowego opóźniło się o jeden dzień. Zanim jednak we wto-rek, 14 lipca, wręczono puchar zwy-cielskiej drużynie — „Tajfunowi” z ul. Wojska Polskiego i nagrody najlepszym w swych specjalnościach: bramkarzowi, napastnikowi i królowi strzelców, ro-zegrano zaległe i planowane mecze, w których padły wyniki: „Inter” — „Ma-zowiak” 1:13, „Tajfun” — „Rembielin” 2:1, „Nadnarwiłanka” — „Tajfun” 2:2 i „Rembielin” — „Mazowiak” 2:5. Na szczególne wyróżnienie zasługują chłopcy z „Interu”, którzy zajęli ostatnie miejsce z tej prostej przyczyny, że byli najmłodszą drużyną w turnieju, ale wykazali walory, jakich ostatnio bra-kuje naszej narodowej jedenastce: u-pór, ambicję, godną postawę. Noto-miast najlepszą drużyną okazali się podopieczni Aleksandra Cwaliny — „dzicy” z „Tajfuna”, którzy wygrali wszystkie mecze, sześciu z nich (na piętnastu zanotowanych) trafiło do no-tesów szkoleniowców ŁKS-u. Najlep-szym technikiem szkoleniowcy uznali Artura Nowocześnego z „Tajfuna”, najlepszym bramkarzem okazał się jego

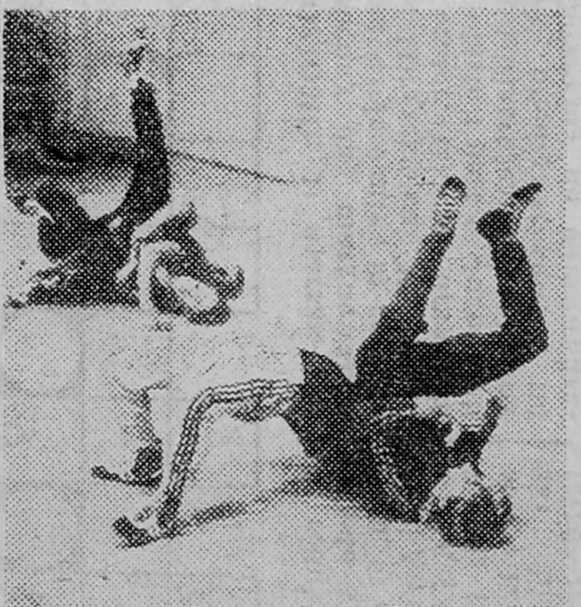
„klubowy” kolega — Karol Szybłowski, natomiast królem strzelców został zdo-bywca sześciu bramek — Zbyszek Bo-gumił z „Mazowiaka”. Ponadto wy-różniono Pawła Ciborowskiego, Radosta-wa Terejaka i Piotra Tabenka z „In-teru”. I jeszcze jedno, obserwatorzy zgodnie stwierdzili, że zwycięską dru-żynę — „Tajfun” — należałoby otoczyć opieką, bo ci zgrani chłopcy (praktycz-nie z jednego podwórka) mogliby zo-stać zgłoszeni od jesieni do rozgrywek trampkarzy. Za naszym pośrednictwem kierownictwo ŁKS-u pragnie podzięko-wać jeszcze, oprócz wymienionych przed tygodniem, pp. Kazimierzowi Ur-banowi, Jackowi Cholewickiemu i Woj-ciechowi Zaorskiemu za pomoc w or-ganizacji imprezy. A oto końcowa ta-bela:

1. „Tajfun”	7:1	17: 5
2. „Nadnarwiłanka”	5:3	10: 5
3. „Mazowiak”	5:3	22:17
4. „Rembielin”	3:5	15: 8
5. „Inter”	0:8	3:32

Chłopcy, którzy nie brali udziału w turnieju a chcieliby sprawdzić swe pił-karskie umiejętności i ewentualnie wy-stępować w przyszłości w barwach ŁKS-u, proszeni są o zgłoszenie się w dniu 3 sierpnia o godzinie 17.00 na sta-dion WOSIR-u w Łomży, gdzie zostaną poddani egzaminowi.

Krzysztof Grupa z ŁKS-u został po-wołany przez PZPN na zgrupowanie kadry trampkarzy, które odbędzie się pod koniec sierpnia br. w Wasilkowie.

Z trzech sekcji działających w gra-jewskiej „Warmii” najgłośniejszą o zapa-sniczej „Warmii” najgłośniejszą o zapa-sniczej. Podopieczni Władysława Klerde-lewicza, trenera roku 1984, odnoszą zna-czące sukcesy. W tym roku zajęli II miejsce w turnieju strefowym, ustępu-jąc jedynie drużynie warszawskiej „Le-gii”. Dwa z nich: Arkadiusz Tworowski i Krzysztof Czyżewski z powodzeniem brali udział w mistrzostwach Polski w kategorii juniorów starszych.
60 kandydatów na mistrzów suplesu ćwiczy w sali gimnastycznej grajewskie-go Liceum Ogólnokształcącego. Marzy im się sala tylko dla ich potrzeb.
W przyszłości będzie budowana ha-la sportowa z miejscami dla 350 widzów — mówi Jarosław Pińczykowski, czło-niek zarządu klubu, działacz sekcji za-



paśniczej. — Urząd Miasta i Gminy prze-znaczył na działalność MLKS-u „War-mia” ponad milion złotych. Wojewódzka Federacja Sportu obiecała trzy miliony. Gdy do tego doda się społeczną inicja-tywę i ofiarność takich działaczy, jak Zdzisław Jankowski, Antoni Cebula, Jó-zef Parzymieś, Stanisław Korycki, Jerzy Matuś, to perspektywy są opty-mistyczne. Szkoda tylko, że nie widać następów. Zle układa się współpraca z zakładami pracy. Z ponad 40, jakie są w

naszym mieście, tylko nieliczne poma-gają klubowi. Wymienilibym: „Pasman-ty”, Spółdzielnię Kółek Rolniczych, Za-kład Gospodarczy WZGS-u, Spółdzielnię Budowlaną, Rejonowe Przedsiębiorstwo Wodno-Melioracyjne i PBRol.

Koszty utrzymania sekcji z roku na rok rosną. Mimo nie najlepszych wa-runków mamy wiernych klubowi za-wodników: Jacka i Marka Dereniów, Dariusza Gumowskiego, Roberta Piwko, Dariusza Zawistowskiego i Marka Bo-rymowskiego. To nasza czołówka. Więk-szość z nich uczy się w Zespole Szkół Mechanicznych w Szczuczynie. Niektó-ry — w Zespole Szkół Rolniczych w Wojewodzinie. Szkoły idą nam na rękę, przesuwają nawet terminy egzaminów. Kilku zawodników opuszcza nas, by od-

suples po grajewsku

być służbę wojskową. Postaramy się, by nie stracili kontaktu ze sportem wyczyn-owym. Może wrócić do nas, a gdyby nawet nie, pozostanie satysfakcja, że wychowali się w naszym klubie.

Działacze skierowali wiele gorzkich słów pod adresem łomżyńskich instytu-cji, odpowiedzialnych za organizację sportu w Grajewie: choćby WOSIR ble-rze „haracz” roczny (400 tysięcy) a nie robi. Na stadionie miejskim nie ma nawet zimnej wody. Zastużona „sławoj-ka” irytuje miejscowych, a przybyszów śmieje. Kto kupi bilet, gdy w ogro-dzeniu są dziury? Sprzet — nieregular-nie konserwowany od lat. Mogłby się wreszcie rozpocząć planowany na ten rok remont kapitalny stadionu, gdyby nie fakt, że koszt dokumentacji wynie-sie ponad 10 milionów. Działacze i mi-łośnicy klubu „Warmia” liczą na pomoc zakładów pracy w zebraniu tej sumy, bo przecież po odremontowaniu obiekt będzie służył przede wszystkim miesz-kańcom Grajewa. (lor)

sztuka kochania

WEDŁUG
OWIDIUSZA

Gdy kochanka się opiera —
ustap... a twój triumf pewny.
Czyn — co ci uczynić każe.
Płacz? Płacz udawaj rzewny.
Śmieje się? Pękaj ze śmiechu.
Co powie — powtarzaj za nią.
Przeć — czemu jej usta

przeczą.
Chwał — co chwałą, gań —
co ganią...

Trzymaj nad nią parasolkę.
W ciżbie toruj lubej drogę.
Pod stopy jej złóż kobierzec.
Obuj lubo rozszuj nogę...
Nie płoń się ze wstydu, jeśli
poniżenie ci przypadło
trzymać swoją wolną rękę
(rzecz to hańbiąca

zwierniactwo [...])

Jeżeli twoja kochanka
na Forum da ci spotkanie —
przed umówioną godziną
pierwszy musisz przybyć na
nie.

Skoro zawoła na ciebie —
pędź, leć — ile tylko siły.
Bacz, by najlichniesze tłumy
biegu twego nie zwolniły [...]



Rys. Henri Matisse

KRYZYSOWE JEDNO DANIE

mortadela po flamandzku

1/4 kg mortadeli pokroić w plasterki, pozostawić przez 2 godziny poza lodówką. Kiedy przybierze kolor niebieski, posypać tartym chrzanem, zawinąć w wafelki. Po następnych kilku godzinach powinna zrobić się całkiem czarna, w tonacji starych Flamandów. Jeść w obecności lekarza.

GOSPODYNI

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

Robotnik z pijaka — to jak z osła koń
Niby pracuje, lecz więcej udaje
I choć dumny z tego, nie przystępuj doń
Robotnik z pijaka — to jak z osła koń.

Choć się wysila, choć w pocie ma skroń
Cierpliwości brak mu, co i raz to ustaje
Robotnik z pijaka — to jak z osła koń
Niby pracuje, lecz więcej udaje.

Nota biograficzna: Justyn Kukowski, Wygoda.

przedruki przedruków



— Porozmawiajmy wreszcie jak wariat z wariatem!

Druk: „Eulenspiegel”, przedruk: „Panorama”, komentarz własny.

Motto:
Dobrze czy źle,
było dużo.

Szanowny Panie Podredaktorze!

Z natury jestem wesoły i jak są jakieś imieniny, albo inna okazja towarzyska, ludzie boki sobie zrywają, jak zaczęły opowiadać różne dowcipy. Niektóre nawet sam wymyśliłem i moja żona poradziła mi, żebym zaczął współpracę z

podredakcyjna ekstrapocztka

Waszym tygodnikiem. Mogę opisywać te dowcipy albo podawać je w innej formie, tylko muszę wiedzieć, jakie słowa nie są dozwolone, bo w wielu kawałach występują różne słowa nie zawsze całkiem parlamentarne. Może mi więc



z urzędowej tablicy ogłoszeń

Ogłaszamy niniejszym, że w dniu 22 V 1987 (piątek) organizujemy wycieczkę do Krakowa autokarem. Kto chcejechać, musi zapłacić 9650 zł za siebie i 11860 zł za członka rodziny, bez względu na jego wiek. Wyjazd o godz. 16.00, powrót w niedzielę rano. Po drodze przewidziane atrakcje liczne, natomiast nocleg — niestety — w autokarze.

Zachęcamy gorąco wszystkich pracowników, jednocześnie oznajmiamy, że ilość miejsc w autobusie jest ograniczona!

RADA PRACOWNICZA
(bez podpisów)

swawolnik

Słynny Kazimierz Grus, świetny karykaturzysta i kawalarz, obdarzony był niepospolitą siłą fizyczną i dość awanturniczym usposobieniem. Pewnego razu pokłócił się o coś z niemniej słynnym pułkownikiem Wieniawą. Kiedy krewny dysputanci przeszli od słów do bardziej konkretnych argumentów, paru kolegom tylko z trudem udało się ich rozdzielić. Wówczas to zdyszany Wieniawa powiedział, obciągając swój szwależerski mundur: — My się jeszcze zobaczymy i pogadamy ze sobą!

Grus patrząc na akselbanty, szlify i orderki „Apolla Belwederskiego”, nie bez sarkazmu odpowiedział: — Owszem, pogadamy ze sobą, ale jak obydwaj będziemy w gaciach.

Redakcja przyśle wykaz słownictwa zabronionego do użytku publicznego, a ja wtedy pozostępuję te słowa jakimiś synonimami, żeby było obyčajnie i bez żadnych zgrzytów. Nadmieniam, że takich dowcipów mam co najmniej z pół tysiąca, którymi sypię jak z rękawa przez kilka godzin bez żadnego odpoczynku.

Pozdrawiam
STANISŁAW WARZECHA
Puttusk, ul. Skarbka 9

SLOGAN TYGODNIA

OBYWATELU! PAUPERYZACJA TWOIM NIEZBYWALNYM PRAWEM

Mamy sezon urlopowy, a więc tysiące naszych fabryk i różnych zakładów produkcyjnych całkowicie zawiesiło swoją działalność, bądź też pracuje na ćwierć gwizdka, utrzymując pozory produkcji. Dzieje się tak przy znanych wszystkim niedoborach rynkowych, które nie tylko nie maleją, ale w pewnych grupach asortymentowych zdają się nawet pogłębiać. Dzieje się tak w chwilach ciężkich dla gospodarki kraju, nękanego rosnącym wciąż zadłużeniem, który nie jest w stanie spłacać nie tylko swoich długów, ale nawet od tych długów odsetkowego procentu.

wieści ponadgminne

Cóż to jednak kogo obchodzi? Słonko przygrzało, więc trzeba odpoczywać. Po ciężkiej i wyczerpującej pracy pozostałych jedenastu miesięcy, czy może raczej siedmiu, po odjęciu wszystkich wolnych sobót, świąt kościelnych, państwowych, okazjonalnych, chorobowych etc.

Można odpoczywać, bo natura próżni nie toleruje i już nawet taki Szekspir powiedział kiedyś, że: „Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś”.

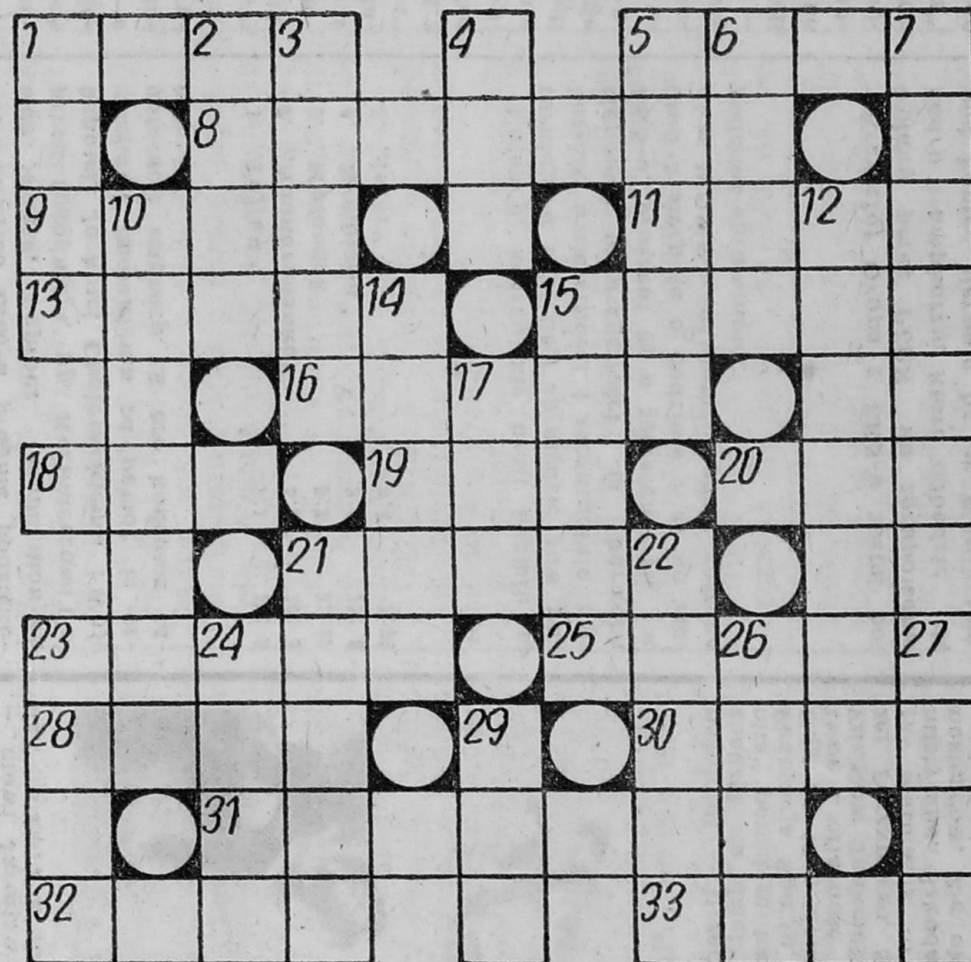
W naszych warunkach zapewne nie śpi załoga mennicy państwowej, produkująca papierowe złotówki. Można przypuszczać, że praca wre tam na pełne trzy zmiany, więc nie ma się co martwić, bo pieniędzy chyba nam nie zabraknie.

KOMENTATOR

uniwersalna wroźba tygodnia

Idźże wreszcie na ten swój ukochany urlop i nie przeszkadzaj w pracy swoim kolegom z pracy. Weź najlepiej cały należny Ci miesiąc i wyjeżdż, byle daleko. Po Toim powrocie, być może, coś się w firmie zmieni na lepsze.

KASSANDER



POZIOMO: 1) wstrząs, 5) niezbędny do marynowania, 8) ma wiele ogniw, 9) cechuje osła, 11) rzeka na Węgrzech, 13) orator, 15) w drzwiach, 16) miasto i port w Jugosławii nad Adriatykiem, 18) sztuczny język międzynarodowy, 19) melioracyjny do odprowadzenia wody, 20) produkt mleczarski, 21) rybackie polowanie, 23) lek przeciw bólowi gardła, 25) jałmużna, 28) obchód powitania wiosny, 30) rzeka w pln. Szwecji, uchodzi do Zatoki Botnickiej, 31) przedstawienie, koncert, z którego dochód przeznaczony jest na korzyść jednego z wykonawców, 32) karciany kolor, 33) największy kontynent.

PIONOWO: 1) odgłos płynącej wody, 2) metal stosowany

w reduktorach, 3) pniak, 4) miasto w środkowo-zachodnim Peru, 5) ozdobny krzew z złotymi kwiatami, 6) w tytule powieści Leona Kruczkowskiego, 7) piła tartaczna, 10) gatunek sowy, 12) Joachim, znany polski historyk, numizmatyk (1786—1861), 14) brat Mojżesza, 15) profesja, 17) głęboki wykop, 21) hazardowa gra w karty, 22) z Cardiff, 23) szal występujący u południowców, 24) miasto w Danii, 26) przydatny przy rysowaniu piórkiem, 27) miasto w środkowej części Egiptu nad Nilem, 29) nierób. (GENTO)

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 25/87

POZIOMO: kasek, głęda, rześl, skóra, Zorba, kolor, tenis, taksa, Askra, akt, biedak, rębacz, „Rio”, polana, portal. PIONOWO: zgrzyt, pędrak, kasata, spójnik, kraksa, metlik, alaria, awizo, sadza, sobór, racja, Akra, trop.

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki książki wylosowali, URSZULA BIAŁA (Zambrów), EDMUND KAROLCZAK (Mysli-bórz) i URSZULA ZAMBRZYCKA (Hryniewiczze).